

4

podróż do piaszczystego wzgórza

**Alfred
Siatecki**

**podróż do
piaszczystego
wzgórza**

podróż do piaszczystego wzgórza

**Alfred
Siatecki**

**Glob
Szczecin
1987**

Opracowanie graficzne *Aneta Kamizelich*

© Copyright by Wydawnictwo „Glob” Szczecin 1987

ISBN 83-7007-104-X

Pieska śmierć

Do nauczycieli, sołtysa, nawet milicjanta tak, ale ani do naczelnika, ani do proboszcza bramszczanie nigdy nie mieli szczęścia. Co biskup przysłał nowego, najczęściej młodziutkiego, ludzie zebrali trochę pieniędzy na auto, żeby ich proboszcz nie był ostatni w powiecie, wymalowali kościół, postawili jeszcze jeden krzyż na rozstajnych drogach, ogrodzili siatką najpierw stary, ponemiecki, potem nowy cmentarz, kupili dzwony, ornaty, ławki, żyrandole, już jako tako wzbogacony, zadowolony żegnał się z nimi i ani prosić go o pozostanie we wsi, obiecywać marki na założenie centralnego ogrzewania w kościele i plebanii, ani jechać do Gorzowa, gdzie kuria biskupia. Gdy księdz Nowaka wbrew całej bramskiej parafii biskup przeniósł do Zulechowa, ludzie umyślili, że proboszczem w Bramsku powinien być Kazik Wyborek, swój od dziecka, pasł krowy na przykanalskich łąkach, zna ich, rozumie jak mało kto, powiedzieli o tym staremu Wyborkowi, a sołtys nic nie odrzekł, tylko dumnie podniósł głowę i machnął ręką.

— Źle by wam było? A jakie poważanie...! — aż zagwizdał Anin. — Nie w każdej rodzinie jest ksiądz.

— Stock chciał swojego dać za doktora, też niegłupi chłopak, ale przez te... — Grzęda urwał, uśmiechnął się sam do siebie.

— Ze Stefana byłby taki doktor jak ze mnie orga-

nista — roześmiał się Anin, a każdy rozumiał to po swojemu. — Nam potrzebny taki proboszcz, sołtysie, jak wasz Kazik.

Teraz ma być inaczej, po myśli całej wsi. Późną wiosną Andrzej przywiózł swoim mercedesem, jeszcze pachnącym lakierem, księdza Rabiege, zaraz potem jego matkę i dwie siostry bliźniaczki, a ostatnio starą, przygłuchą ciotkę. Zaraz na pierwszym niedzielnym kazaniu, gdy wieś hurmem zwała się na mszę, bo proboszcz nowy i już nie najmłodszy, ksiądz Rabiega ogłosił swoje plany: w Bramsku musi stanąć nowa plebania, wielka. Wstyd, żeby gospodarze mieszkali w pałacykach, a proboszcz w poniemieckim, zawilgoconym domku bez centralnego ogrzewania, łazienki, biblioteki, jadł w kuchni, wiernych przyjmował w zimnej i ciemnej zakrystii, nie miał ani garażu, ani spiżarni, ani saloniku. A jeśli stanie nowa plebania, to w starej będzie salka katechetyczna, kawiarenka z klubem i szatnią i wtedy dom kultury, na budowę którego od lat bramszczanie zbierają pieniądze, po co komu.

— Obliczyłem z panem Andrzejem, że będzie to kosztowało osiem lub dziesięć milionów złotych i trochę waszej pracy przy robotach niefachowych. Im wcześniej się zabierzemy do budowy, tym koszt mniejszy.

Następnej niedzieli, gdy ludzie nieco ochłonęli z wrażenia, bo ksiądz posiwiały na skroniach, mówi zwyczajnie, trochę sepleni, ani przystojny, ani bogaty, usłyszeli:

— Z każdego domu, od wierzącego czy ateisty, panny czy wdowy, rolnika czy robotnika, ucznia czy rencisty, kościelnego czy nauczyciela muszą dostawać miesiąc w miesiąc po tysiąc złotych. Za dwa lata zbierze się na naszym koncie osiem milionów. Za te pieniądze powinniśmy zbudować dużą plebanię, a co zostanie, będzie na remont starego domu. W przyszłości, ale to za

kilka długich lat, w domu bożym zainstalujemy centralne ogrzewanie i urządzenia alarmowe. Jedźcie do Zulechowa i popatrzcie, jak tamtejsi parafianie od dawna stawiają plebanie. Budują także biedniejsze parafie, cała nasza diecezja opodatkowała się, by mieć nowe kościoły, nowe plebanie, nowe salki, nowe... — urwał, odkaslnął, nabrał powietrza w płuca, uniósł rękę i rzekł donośnie: — My też. My też — powtórzył trzymając tę rękę wysoko — żeby po naszym pokoleniu pozostał na ziemi jakiś ślad.

— Jezu, to ja mam dać dwadzieścia ctery tysiące? — szepnęła zaniepokojona Żuczycha do ucha Stockowej. — A skąd ja wezmę tyle pieniędzy? Ctery miesiące mojej renty.

— Nie ma wśród was ubogich, wynędzniałych, biednych! — zagrmiał proboszcz. — Jeśli było stać was na zebranie pieniędzy na budowę domu kultury, choć nie Bogu ma on służyć, a uciechom, to...? Jeśli złożyliście się na pomnik...? W Niemczech Zachodnich macie krewnych, dostajecie paczki, marki, odzież, sprzedajecie dużo, budujecie obory, szklarnie, domy jak pałace, w których meble dębowe, dywany zagraniczne, telewizory — wytykał im, wskazując dłonią ni to Stacha Kopfla, ni Stefana Stocka, ni Andrzeja, którzy stali najbliżej ambony. — Bogaciecie się. Kupujecie kombajny, traktory... Kto nie da na budowę plebanii... — natychmiast się poprawił: — Kto będzie zalegał dłużej niż dwa miesiące, niech nie liczy na... — znowu zamilkł, zwilżył usta śliną, po chwili namysłu ciągnął dalej: — Podaję do wiadomości, że od dziś święta msza żałobna będzie kosztowała co najmniej dwa tysiące, pogrzeb trzy, ślub sześć. I niech nikt nie pyta, ile się należy. Nie dla mnie to, nie dla mojej rodziny, lecz na kościół boży, ostoję człowieczeństwa w naszych niespokojnych czasach. Musimy żyć prze-

de wszystkim w Bogu, a nie w Bramsku, być braćmi, a nie sąsiadami prześcigającymi się w zamożności. Tylko kościół i jego wiara połączą nas. Tylko ja, służba boży, zawsze wiernie będę was wspomagać. Radą. Modlitwą. Sakramentami. — I gdy już schodził z ambony, rzekł: — A na tacę nie rzucajcie bilonu, lecz banknoty, nie żałujcie, nie liczcie się z każdym groszem. Tam, gdzie ostatnio byłem proboszczem, dorośli dawali minimum po sto złotych, dzieci po pięćdziesiąt.

— Mój Boże — jęknęła przestraszona Lońka — to Franko musi dawać dzieciom dwieście złotych.

— Wasz Franko dwieście, a co ma powiedzieć Garbaj, jak u niego ośmioro, teściowa i ich dwoje? — Palewiczka na to.

Ksiądz Rabięga ze stopni ołtarza przypomniał, że dzisiejszą mszę odprawia za darmo, po raz ostatni, choć prosił kościelnego Kalwina, by wcześniej zebrał od ludzi po dwieście złotych, bo to msza błagalna o deszcz.

— Prośmy Boga o przebaczenie, albowiem tylko modlitwą i pokorą człowiek odkupi winy swoje. Żyjemy w czasie, gdy ludzie popełniają tyle grzechów, że Bóg jedyny sprawiedliwie musi nas karać suszą, ogniem, powodzią, nagłą śmiercią.

Wyborek przypomniał sobie pole spopielone, martwił się, wcale nie myśląc o tym, co mówił proboszcz. Jeszcze tydzień suszy, a i z łąk przykanalskich nie będzie co zbierać. Schnące badyle zakwitną na pastwiskach i czym cały rok karmić krowy? Wyjął z kieszeni marynarki pięćset złotych, gdy kościelny podszedł do niego, rozwinął banknot, żeby ludzie widzieli, rękę uniósł wysoko, spojrzał Kalwinowi w oglupiałe oczy i pięćsetka jak motyl spadła na tacę między pięćdziesiątki i bilon.

— Bóg zapłać — drżącymi ustami wyszeptał Kal-

win, lecz Wyborek nie słyszał tego, patrzył na sąsiadów ze zdziwienia wybałuszających oczy.

Niech widzą, kto jest najbogatszy w Bramsku, powiedział sam do siebie. Stać mnie, synam wyuczył za księdza, córce dałem posag, a ziemi mam tyle że i suszy się nie boję. Ale, ale jakie to straty!

— Szystko bez tych bezbożników, co nie chodzo do kościoła. O, taki Stock — powiedziała Palewiczka głośno, by usłyszała Katarzyna Stockowa — kiedy był na mszy? A Knasta Maniek?

— Partyjni, to im nie wypada...

— Wasz te je partyjny — przerwała Palewiczka Wyborczysze. — Wysooko partyjny — dodała. — I do kościoła, każdy niedzieli, chodzi. A na tace ile daje? Pienśet złoty musi.

— Mój?! — Wyborczycha aż posiniała ze złości.

— Samam widziała. Nie wierzyta? Spytajta Kalwina.

Kobiety wystrojone w niedzielne sukienki gwarząc wracały z sumy, każda trzymała pod pachą albo na przedramieniu czarną torebkę, w której prócz książeczki do nabożeństwa i misternie wyhaftowanej chusteczki do nosa nie było nic, ani złotówki. Proboszcz Rabiega co niedziela przypominał ludziom, że na tacę powinni kłaść tylko banknoty (polskie, niemieckie, amerykańskie), a oni jakby mu na złość wyjmowali z torebek czy kieszeni bilon i czekali, kiedy Kalwin podejdzie z koszykiem.

— Masz dać dziesięć złotych, nie dawaj wcale! — grzmiał każdej niedzieli ksiądz Rabiega. — Świece podróżowały, wino mszalne tylko za dolary, kościelny domaga się podwyżki, benzyna kosztuje tyle, co dwa litry mleka. Od Zielonych Świątek ja będę chodził z tacą — zapowiedział, a ludzie pospuszczali głowy na piersi.

— Raz była ja w Zulechowie, jak moja Stenia leżała w szpitalu na nogę, posła ja na mszę. Ho, ho, co za kościół! Rzuciła na stół dwa złote, myśli kuma, że kościelny nie powiedział: Bóg zapłać?

— Niy gadojciy, Żuczyczo, niy gadojciy, uen niy dla siybiy — skarciła ją Stockowa. — O, Kalwinowi mus doć wiyncy grosza.

— Za te piniondze on by trzech Kalwinów najoł — stwierdziła Lońka.

— A na świecy?

Lońka jesienią zdała gospodarkę skarbowi państwa, teraz miała dużo czasu, to i chodziła po wsi i opowiadała, co proboszcz je na obiad, ile pieniędzy wydaje na sukienki swoich sióstr, które całymi dniami albo oglądają telewizję, albo wychylone przez okna śledzą ludzi. Gdyby nie mieszkwały w plebanii, a w agronomówce czy pałacu, już by kawalerka nie dała im spokoju, teraz znużone czekały Bóg sam wie na kogo. Wieś obserwowała je, dziwiła się, że takie mądre, wszak siostry proboszcza, a niewiele martwią się o swoją przyszłość. Naczelnik Gnida nie posadziłby ich za biurkami, nie mogłyby wypisywać kwitów, przyjmować podatków? A w kółku za dużo urzędniczek? A w szkole nie brakuje nauczycielek?

— Bój się Boga, Lońka, tak gadać?

— Wy, Łukaszka, macie gospodarke, bachory małe, a ja co? Z renty wyżyć i jeszcze dać na kościół?

Ksiądz Rabiega raz w tygodniu koło obiadu, a wypadało to tylko w niedzielę, kazał Kalwinowi otwierać drzwi kościoła i wtedy przed ołtarzem spotykała się prawie cała wieś, pokorna, cicha. Dzieci stawały przed amboną, starsi odświętecznie siadali w ławkach, kawalerka ustawiała się wzdłuż okien i drzwi, wszyscy czekali jak na zebraniu, kiedy proboszcz wyjdzie przed nich, a organista Przytulak pozwoli śpiewać.

Siedzieli zamknięci w sobie i wpatrywali się w wymyte, wystrzyżone, wyondulowane głowy, wygolone, wypachnione twarze i obrażowane słońcem zgięte karki i patrzyli, kto w czym przyszedł. O, Stockowa ma nowy sweter, pewnie z tamtych Niemiec, w takim samym swetrze Wyborczycha i Knastka, i Lońka. A skąd te swetry kolorowe, ciepłe, drogie, jeśli nie z paczek, które dostaje pół wsi, a drugie pół zazdrośnie klnie, bo żeby jedni mieli dużo i za darmo, a drudzy niewiele? A czy to sprawiedliwe, by na budowę plebanii wszyscy mieli dawać po równo?

— Za rok przyjedzie do nas ksiądz biskup. Za rok — powtórzył ksiądz Rabiega, uświadamiając ludziom, że to już niedługo, nawet się nie spostrzegą, kiedy pierwszy raz stanie przed nimi biskup.

Wyborek pomyślał: w ciągu tego roku może się tyle wydarzyć, zmienić, że i ksiądz zapomni o nowej plebanii. Bo jak ruszy budowa domu kultury, a po sianokosach ruszy, to ksiądz nie wesprze wsi? Wesprze, wesprze i jeszcze powie, że najpierw dom kultury, potem plebania. Skoro tylu proboszczów nie narzekało, marzło, jadło w kuchni, nie miało garażu, to ksiądz Rabiega nie poczeka?

— Za rok przyjedzie do nas ksiądz biskup, żeby obejrzyć plany nasze, pomóc, pobłogosławić. Udzielić sakramentu bierzmowania. Do tego czasu musimy wykopać dół na fundamenty plebanii, zwieźć cegły i cement. Kupić drewno, eternit. Musimy! — zagrmiał. — A wy co?! Chcecie budować dom kultury? Dom kultury niech stawia gmina — pouczył, a wszyscy wzięli w kleszcze wzroku czerwieniącego się Gnide. — Płacicie podatki, składki i na co to? Co z tego macie? Jestem wśród was trzeci miesiąc i gdyby nie moje oszczędności, na ołtarzu nie paliłyby się świece. Ludzie! nie dla mnie te pieniądze. Nie dla mnie.

Proboszcz najpierw przepychał się między dziećmi, głaskał je po głowach, pytał o imiona, nazwiska, potem wszedł między ławki i podstawiał ludziom pod nosy koszyk wiklinowy na długim jak rząd ławek kiju. Bóg zapłać, Bóg zapłać. No i teraz niech ktokolwiek spróbuje rzucić na tacę dwadzieścia złotych albo, co gorsza, wcale nie zauważyć koszyka! Wyborek jest przekonany, że proboszcz stanie na stopniach ołtarza, wskaże ręką tego czy tamtego i jaki wstyd? Wyborek się cieszy, a ludzie klną w myślach, ale są posłuszni wezwaniu księdza Rabięgi. Zawsze uważali, odziedziczyli to po swoich ojcach i matkach, a ich ojcowie i matki po swoich ojcach i matkach, że we wsi ważny jest nauczyciel, sołtys, ale najważniejszy jest i będzie ksiądz. Kto ma syna księdza, ten może zostać nawet naczelnikiem, bo sołtysiem na pewno i wcale nie musi należeć do żadnej partii.

Od dawnych lat bramszczanie nie zaglądają do kalendarza, dni liczą od niedzieli do niedzieli, bo to i msze tylko w niedziele, i w niedziele popołudniami Wyborek wynosi przed dom stół i aż do zmroku zbiera podatki. W niedziele upalne szutrówka przecinająca wieś na pół przypomina mu ulicę oplatającą zulechowski ratusz, tyle ludzi wylega na nią, siada na ławkach, śmieje się, narzeka, spogląda w stronę lasu.

— O, usiedlibyście. Co tak pilno? Dokąd? Dzisiaj niedziela. — Grzędzina zatrzymała sąsiadki, robiąc im miejsce przy sobie na ławce. — Co nowego proboszcz gadał na kazaniu?

— Pytał, dlaczego nie przyszliście na mszę — zażartowała Wyborczycha i pochyliła się nad śpiącym w najlepsze Bolkiem. — Kiedyż wam urośnie? O, mój Boże, jakie to małe, ledwie główkę widać.

— Urośnie, urośnie — stwierdziła Palewiczka — będzie jak ta lala. Za dwadzieścia lat Grzenda przepisze

mu gospodarke, kupi jakie auto i niech se szuka dziewczuchy. Daleko nie pódzie. Może wasza Ceśka jeszcze co urodzi? Ile jej? Trzydziestki musi nie ma?

— Cesi idzie na dwudziesty piąty. Mówię: Cesi, masz dwa rojbry, przydałaby się dziewczuszka. Ona: terra, mam, nie opłaca się. W mieście co innego, ty rodzisz, a państwo płaci.

— Ju ci państwo napłaci — roześmiała się Palewiczka. — Rente dać dali, a ile to było łożenia? Co za pioniondze? A tu jeszcze musowo na plebanie.

Obok nich przejechał na jawce Maniek Knast, zostawiając za sobą obłoki kurzu, zaraz po nim w stronę łożinek popędził wnuk Palewiczki. Grzędowa przypomniała sobie, że jeszcze nie tak dawno i ona przyklepiała się do pleców Grzędy i wueską umykali za majątkowe stogi, nie tylko oni oboje, bo i Kryśka-sklepowa, i Ceśka Wyborczychy, i nawet obie Knaścianki. Starsi we wsi na ławkach, młodzi to w łożinkach, to za stogami, dopiero wieczorem zadowoleni, radośni wracali do Bramska i wtedy już było wiadomo, u kogo wesele.

— Prawda to, co Maniek zachodzi do siostry proboszcza? — spytała Palewiczka. — Lońka tak gada.

— Maniek? — zwątpiła Wyborczycha. — Taki rojber?

— Lata swoje ma, motor mu stary kupił, szkołę skończył, to...?

— Palewiczka, Palewiczka, gdzież taka wyda się za Mańka?

— Przychodzi na dziewczuche ten czas, że byle chłop... A Maniek postawny, bogaty.

Na ławce przed domem Wyborka, w cieniu kapeluszonej lipy siedzieli mężczyźni, też wspominali dawne lata, niczego nie żałując, nikomu nie zazdroszcząc, nawet Andrzejowi tych szklarni ciągnących się od szutrówki aż do łąk przykanalskich. Anin spytał, czy to

prawda, że Wyborek widział księdza Rabiegę w pałacu, jak wychodził od Jawdosi. Sołtys nie zaprzeczył, a Stock zaśmiał się grubo:

— Już by Gnida dał mu. Pewnie zachodził do Kalwina.

— Ksiądz teraz musi dobrze żyć z naczelnikiem, bo skąd weźmie cegły? A cement? Kupi gdzie?

— Dla nas nie ma, no nie ma. Chciałem na garaż, to Gnida gada, co samochód może stać se na dworze, nikt nie ukradnie. A on, skurczybyk, pobudował garaż, kurnik... żeby tylko sobie. Budy nie postawił ceglanej?

— Ale na plebanie będzie wszystko — stwierdził Anin rozeźlony. — I będzie, jak Boga kocham.

— Za te pieniądze, co ksiądz zbierze, jaką szkołę by się postawiło — cmoknął Wyborek.

— Pewnie, szkoła potrzebna. Dom kultury też, no i plebania.

— Co będzie z Kalwinem? — zaniepokoił się Stock. — Tyle lat za kościelnego i na starość bez roboty? Tak się nie robi z ludźmi. Koń stary, to wypędza go kto?

— Dostanie emeryturę i będzie żył se jak Łońka.

— A kto mu da? Proboszcz? Biskup?

— Rząd — rzekł Anin bez namysłu. — Palewiczka dostała, Kopfel też, to jemu się nie należy? Gnida załatwi.

— Najpierw musiałyby Kalwin dać Gnidzie w łapę — roześmiał się Grzęda.

— A czemu to nie słyhać Heńka? Musi trzecia, najwyższy czas gnać krowy na łąki. — Kwiatek podciągnął rękaw koszuli, spojrział na zegarek: — Na moim zara będzie trzecia.

I w tej chwili najpierw przeleciał przez wieś przeraźliwy pisk, zaraz potem wyskoczył na szutrówkę Heńka, oczy miał pełne strachu, drżał, rozczochraną głową

wskazywał na pałac. Za nim kolebała się na krótkich nogach Jawdosia, chustka zwisała jej z ramion, w ręku trzymała pokrywkę, niezrozumiale dla mężczyzn odwrzucała głowę to do tyłu, to na boki, dając jakieś znaki.

— Latuje się czy co? — zdziwionym głosem spytał Cynaj. — Mało iy Gnidy, ksiyndza, jeszcze na własne dziecko...?

— Takiej i trzech Gnidów nie dogodzi. Ona i Kryśka... ho, ho! — Grzęda gwizdnął, uchwycił Wyborka za kolano. — Was, sołtysie, trza na nią.

Mężczyźni uśmiechając się sami do siebie patrzyli w stronę Heńka pędzącego środkiem szutrówki, Jawdosia stała na drodze machając pokrywką, a zawstydzony Wyborek na nikogo nie spoglądał.

— Taaam! — Heniek zatrzymał się przed nimi, wybałuszonymi na wierzch oczyma pokazał na pałac. — Panie Wyborek — sapał — panie Wyborek...

— Co? — spytał Anin, gotów wstać i natychmiast podbiec do Jawdosi, chwycić ją za krótkie kudły. — Czemu wrzeszczysz?

— Wisi. On wyyyysi! — zawyła Jawdosia.

— Kto? Ktooo?! — równocześnie odezwali się mężczyźni, zerwali się na równe nogi.

— Kalwin! Dziadek Kalwin wisi na strychu.

— Pieprzysz, Heniuś, jak gupkowata Anielka. Przecie Kalwin był na mszy, siedział przy mnie — nie dowierzał Cynaj. — Widziałem, jak dawał na tace, dwadzieścia złotych. Jeszczem słyszał, jak Boga kocham, ksiądz powiedział: Kalwin, za mało.

— Kalwin powiesił się! — krzyknęła Jawdosia. — Sołtysie, Kalwin... — drżała błąda na twarzy.

Dopiero teraz niepokój jak błysk pioruna wstrząsnął ludźmi, zaniemówili, ale jeszcze nikt nie wierzy, bo może Heńkowi przywidziało się; na strychu wiszą łachy

albo pajęczyny. A dlaczego Kalwin miałby odebrać sobie życie? Ukradł co? Zabił kogo? Był stary, samotny, za rok, trzy lata umarłby jak każdy w łóżku.

— Coś ty, Heniuś, pieprzysz. — Cynaj wziął chłopca za ramiona i potrząsnął nim jak gruszą jesienną, aż Heniek zasyczał z bólu.

— Jak Boga szczerze kocham, pan Kalwin wisi na strychu. Chciałem otworzyć gołębnik, bo ja, panie Cynaj, dostałem od dziadka Kalwina parkę pawików, podniosłem klapę i... On wisi, panie Cynaj. Tam — rozplakał się.

— Trzeba powiadomić proboszcza — rzekł Grzęda do Wyborka i poszedł samotnie na plebanię. Nie było go z dziesięć minut, ludzie nie wchodzili na strych pałacu, czekali na ganku, Grzęda wrócił, chwilę milczał przypalając papierosa, i jak nie wrzaśnie: — Kurwa jego mać, to je ksiądz?!

— Nie ma czasu? — spytała Wyborczycha. — Modli się?

— Je obiad. Mnie też należy się odpoczynek, tak powiedział. A ta jego matka... żeby ją... To ja księdzka proboszcza ciągnę młócić pszenicę? Kalwin się powiesił, kościelny. Objobkał mnie i kazał wyjść na drogę. Skończy obiad, porozmawiamy.

Wokół pałacu prawie cała wieś. Mężczyźni zestawieni w gromady niby sztygi snopów na rżysku w milczeniu palą papierosy, kobiety zastanawiają się, dlaczego Kalwin wybrał wisielczą śmierć. Teraz okazało się, że niewiele wiedzą o kościelnym: mieszkał w pałacu jak Jawdosia, sprzątał kościół, zbierał na tacę, kopał doły na cmentarzu, usypywał nad trumnami foremne kopczyki piasku. Czy ma żonę, dzieci? Kiedy i skąd przyjechał do Bramska? Tyle lat był we wsi, a ludzie nie znają człowieka. O Wyborku mogą powiedzieć wszystko, ale Wyborek bogaty i sołtys, Gnidzie są go-

towi przypomnieć, kiedy uganiał się za Jawdosią, ile razy wychodził od Kryški, pamiętają dzień śmierci Żuka, jeszcze dziś widzą, jak Dunda gasi Łukaszową stodołę. A Kalwin tyle lat w kościele, na cmentarzu, z księżmi po kolędzie i oni jakby go nie znali.

— Kto go powiesił? — Z drugiego końca wsi przydreptała pod pałac zziajana Żuczycha. — Pewnie te, co i mojego starego zadziabali? Sam...? Sam nie. Cłowiekowi życie je drogie.

Kobiety tylko wzruszyły ramionami, bo co jej odpowiedzieć? Żuk był wójtem, a Kalwin kościelnym. Wracaly do domów, próbowały rozmawiać: a to o suzsy bezlitosnej, a to o sianokosach, to o żniwach i nie wiadomo kiedy stawał przed ich oczyma Kalwin. Słyszały: Bóg zapłać i widziały starca człapiącego między ławkami, pochylonego, zawsze umykającego spojrzeniem na posadzkę.

— Jaki był, taki był, zawsze to człowiek. Ja do Kalwina nic nie miała — przyznała się Wyborczycha, a Grzędzina przypomniła sobie, jak sołtysina wołała: Obszarpaniec za kościelnego?! Co to, nie ma lepszego? Przytulak nie może grać na organach i chodzić z tacą?

— Śmierć i żona od Bogaznaczona — skwitował krótko całe wydarzenie Anin, Wyborek zaś pomyślał, że nie Anin to wymyślił. Gdyby powiesił się stary Kwiatek, wiadomo: nie mógł wytrzymać bólu, ale Kalwin, który nigdy nie chorował, na nikogo nie narzekał, z nikim się nie sprzeczał?

— Nie wszystko takie jasne, Anin. Kalwin najtrudniejsze przeżył, był spokojny, nie pił, nie kradł. Ile on miał: najwyżej sześćdziesiątkę? — zastanawiał się sołtys, mając przed oczyma zgarbionego Kalwina, zawsze w tym samym wyszmalcowanym kapeluszu, dreczącego wokół kościoła.

Żukiego powiadomić? Musi ma



gdzie jaką rodzinę? Też dostawał paczki z tamtych Niemiec — przypomniawszy Aninowi Wyborek. — A Jawdosia nic nie wie?

— Trza popytać proboszcza — odpowiedział niepewnie Anin, zapominając, że ksiądz Rabiega nowy w Bramsku.

— O, ma się na burzę. — Grzęda podniósł głowę wysoko, wskazał na las pociemniały. — Niechaj pada bez tydzień. Ziemi wody nigdy za wiele. A do proboszcza, Anin, ja nie pójdę. Do tego proboszcza — dodał cicho i jakby tylko do siebie.

W milczeniu, wszyscy posmutniali, zdezorientowani rozeszli się do wieczornego obrządku, lecz nikomu nie chciało się ani poić koni, ani karmić świń, ani doić krów, ludzie mieli w pamięci starego kościelnego, który jeszcze tkwi między nimi i już go nie ma. Grzęda przypomniawszy sobie oślepiętego Kasztana, dawno nie zaprzęgał go do wozu, najwyżej wyprowadzał na pastwisko i patrzył, jak drży z zimna czy starości, bezzębnym pyskiem wybiera żdzibłą trawę, a gdy konisko utopiło się w Obrze, Grzęda długo nie odzywał się nawet do żony. A czy Anin nie pobił Andrzeja za to, że mercedesem rozjechał ślepą Sabę? A zięć Wyborka nie poдал Gnidy do sądu tylko dlatego, że naczelnik nie pozwolił mu zadzwonić po weterynarza i krowa zdechła?

Z samego rana w poniedziałek wezwany z Zulechowa milicjant i kilku mężczyzn wyznaczonych przez sołtysa wdrapało się po wyszczerbionej, wąskiej drabinie na strych pałacu, żaden nie miał odwagi przeciąć sznur, choć byli pomiędzy nimi frontowi żołnierze, którzy niejednego trupa przysypali piaskiem i to nie na cmentarzu, lecz pośród jabłoni, w ogrodzie. Przysypali i zaraz zapomnieli, kopali doły i znowu kładli w nich trupy kolegów.

— Jak on to zrobił — dociekał Wyborek. — Toż żadnego stołka, skrzynki.

— Rzeczywiście, słuszną racją — stwierdził milicjant jeszcze bardziej wystraszony niż Anin. — Ktoś pomagał mu. A kto, sołtysie? Kogo podejrzewacie?

— Diabeł — szepnął Grzęda, ale nikt się nie roześmiał.

Anin wrzucił na wóz obrzemek siana, mężczyźni ułożyli na nim sztywne ciało Kalwina, przykryli je plan-deką i pokolatali się przed budyneczkiem urzędu gminy. Naczelnik Gnida rozdziawił okno, spytał milicjanta, czy będzie potrzebny, nie usłyszawszy odpowiedzi tylko splunął. Felczer, jeszcze trzeźwy, długo obmacywał kościste, suche ręce trupa, dokładnie oglądał każde zadrapanie, zasiniaczenie, a kiedy nic już nie było do oglądania, kazał rozebrać Kalwina do naga.

— Tu, na dworze? — zdziwił się sołtys.

— Ośrodek jest dla żywych — warknął felczer.

— No, tego... Może zanieść go pod schody do sieni? — podpowiedział Wyborek.

— Zawiadomię prokuratora — powiedział felczer do naczelnika.

Anin zacisnął usta aż do białości, oczy wbił w Wyborka i zaraz przypomniał sobie nadętą twarz prokuratora, który węszył po wsi, gdy zabito Żuka. Już wolałby spowiadać się księdzu Rabiedze niż odpowiadać na pytania prokuratora.

— Je milicja, to na co nam prokurator?

— Podejrzewam zabójstwo — stwierdził felczer. — Być może na tle politycznym.

— Zwariował doktor? — zaśmiał się sołtys. — Kalwin i polityka! To tak jak doktor i... — urwał i spuścił głowę na piersi.

— Liczcie się ze słowami.

— Milicja, a nie doktor, nie naczelnik, nie... musi to

potwierdzić — powiedział sołtys znaczącym tonem do milicjanta. — Zrobicie dochodzenie, ale najpierw trzeba pochować Kalwina.

Milicjant stał przy wozie i tylko przytakiwał, to patrząc na felczera, to na sołtysa. Anin machnął ręką, wszedł na wóz, by plandeką przykryć półnagie zwłoki Kalwina, a odwróciwszy się do milicjanta powiedział, że felczer powinien najpierw wytrzeźwieć, bo śmierdzi od niego jak z gorzelni majątkowej jesienią.

— Obrażacie mnie! — wrzasnął purpurowy na pyzatej twarzy felczer.

— Kalwin i polityka? — spytał sam siebie Wyborek i roześmiał się na cały głos. — Nic, tylko wypada jechać do Zulechowa.

— Sołtysie, przywieźcie Kalwina jutro o ósmej. Nim otworzę ośrodek, muszę dokładnie obejrzeć zwłoki. Zauważyłem nie zidentyfikowane ślady walki denata. Z kim, to ustali prokuratura — udając przebiegłego liśsa stwierdził felczer.

— Walki? Gdyby doktor wlaźł po drabinie na strych pałacu, miałyby siniaki nawet na dupie. O, niech doktor popatrzy se. — Anin wyciągnął rękę z kieszeni i pokazał krwawiący palec.

Jeszcze dwa dni wozili zwłoki Kalwina pod ośrodek, a felczer, zawsze pijany, to kazał czekać na prokuratora, to podchodził do wozu i mówił Wyborkowi, że zaraz wypisze akt zgonu. Gdyby Kalwin spodziewał się, ile kłopotu sprawi sołtysowi, poszedłby powiesić się do lasu albo by czekał cierpliwie na zwyczajną śmierć. Kalwin na złość całej wsi wybrał strych pałacu w czasie sianokosów, przed samymi żniwami, kiedy trzeba jechać to po sznurek, to do kółka, to łątać worki na ziarno. Ludzie, zamiast wziąć się za jakąkolwiek robotę, siedzieli na ławkach przed domami i czekali na powrót Anina. Wpatrzeni w tunel lipowej drogi na-

stawiali uszu, zastanawiali się, dlaczego Kalwin wybrał wisielczą śmierć.

— Nie ma na co się oglądać — powiedział Wyborek do Anina. — Miał przyjechać prokurator, a...

— Czekać musowo — przerwał mu Anin.

— Pochowamy Kalwina bez zgody. Chce pan felczer, niech daje ten papierek, który nieboszczykowi nie jest potrzebny. Człowiek to nie pies, nawet po śmierci trzeba z nim jak... z człowiekiem — przekonywał go sołtys.

— A na co czykoć? — Stockowa założyła ręce na piersiach i tłumaczy Aninowi: — Wiyncy jak czy doby niy wolno czymoć umorłoka. O, ju śmiyrdziy.

Anin pociągnął nosem, odwrócił się i splunął na ziemię, raz, drugi. Wydawało mu się, że czuje smród. Zapalił papierosa.

— Miał prokurator dużo czasu, żeby sprawę zbadać? Zawieźli my nieboszczyka do felczera? Naczelnik może poświadczyć?

— Żeby raz — wtrącił Grzęda zły, bo tyle roboty, a on już trzeci dzień wychodzi na drogę i nie wie, czy zbijać trumnę.

— Kalwin to nie Łazarz, felczer nie Pan Jezus.

— My go pochowamy i wtedy przyjedzie prokurator i zapyta, kto pozwolił? Poda do sądu? — zastanawiał się Anin. — Wygrał kto z milicją?

— Anin, a kogo on poda?

— No... sołtysa, mnie, księdza.

— Niy ma tykiygo prawa, co by za umorłoka sadzoliy ludziy do wynziynja.

— Gadajcie se, Stockowa, gadajcie. Zechco, to i sołtysa posadzo. Nie było tak, co Kopfla zakuli i zabrali na ube, a za co? No? Za to, że nie chciał zapisać się do kołchozu. Ot co.

— Tero inne czasy.

— Czasy inne, a rząd ten sam — stwierdził Anin.

Grzęda zbił z desek skrzynię jak na sieczkę, pomalował ją na brązowo, z krawędziaków, które suszył na nowym płocie, wystrugał krzyż, chciał jeszcze uszyć poduszeczkę, ale Grzędzinie szkoda było pieluchy, a nowego prześcieradła nie pozwoliła podrzeć. Anin i Wyborek ułożyli w trochę za krótkiej skrzyni zwłoki Kalwina, od niedzieli nie myte, nie golone, w tym samym ubraniu, w którym zdjęli je z wisielczego sznura. Nieboszczykowi należy się pochówek uroczysty, w nowym ubraniu, z książeczką wciśniętą między dłonie złożone na piersiach, z zapachem stearyny, śpiewami, wspominkami. A tu nic, nikogo z rodziny zmarłego, ani różańca, ani książeczki, tylko ta skrzynia za krótka na wozie Anina.

— Proboszcz nie zgadza się na pogrzeb. Powiedział, że Kalwina trzeba pochować za płotem cmentarza. — Wyborczycha zła na księdza, męża, Kalwina i siebie czekała, co podpowie Grzęda.

— Był wierzący? Kościelny tyle lat?

— Kto broni Kalwina, jest taki sam jak on.

— Wstydziliby się nasz proboszcz. No, Kalwin nie dał na budowę plebanii — przypomniała Wyborczycha mężowi.

— Nie dał, nie dał... A skąd miał wziąć?

— Proboszcz jeszcze powiedział, że za darmo nigdy nie odprawi mszy. I spytał, kto by zapłacił mu za pogrzeb.

— By go szlag jasny trafił! Ja... ja... — Wyborek uniósł do góry zaciśniętą pięść — ja pojedę do biśkupa.

— Aaa... jakby złożyć się i przywieźć księdza Nowaka z Zulechowa? — podpowiedział Grzęda. — Znał Kalwina, pomagał mu, to odmówi?

— Pochowamy go jak człowieka. Nie za płotem, a na

cmentarzu, obok Żuka — zdecydował sołtys. — Co ma proboszcz do naszego cmentarza? Teraz cmentarze państwowe.

— Bez księdza?

— Jak psa? — Grzęda nie sprzeciwiał się, ale nie był za pieskim pogrzebem. — Jakoś... My, taka bogata wieś... Trzeba poświęcić miejsce. Może Kalwin niewinny? Powiesił się, bo... Kto z nas wie, dlaczego miał dość życia?

— Póki chodzisz, żyjesz, płacisz na kościół, jesteś potrzebny. — Anin zapalił papierosa, oparł się łokciami o wieko skrzyni. — A jak zdechniesz, toś niepotrzebny. Ot, zasrane życie.

— Jakie życie, taka śmierć — powiedział Grzęda.

— Żyje się po to, żeby umrzeć — stwierdził Anin.

— Żył, żył i co po nim zostało? — spytała Wyborczycha.

Jeszcze raz poszli na plebanie, Grzęda przekonywał proboszcza, a Wyborek tylko czekał, kiedy trzeba będzie położyć na stole trzy tysiące złotych, które wziął z kasy podatkowej. Ksiądz uparł się, chodził po zakrystii i machał rękoma jakby odpędzał od siebie komary.

— Nigdy — rzekł głosem podniesionym proboszcz Rabiega. — Kalwin nie zasłużył sobie na zwyczajny pogrzeb. Każdy, kto nie będzie mnie słuchać, tak skończy — ostrzegł patrząc sołtysowi prosto w oczy.

— Nie chcemy za darmo. Zapłacimy, ile się należy.

— Za żadne pieniądze. Nawet gdybyście nęcili mnie dolarami. On nie zasłużył sobie na pogrzeb chrześcijański. Zalegał z opłatą na budowę plebanii. Domagał się podwyżki.

— Zeenooooon! — usłyszeli głos kobiecy. — Długo tam jeszcze beńdzieesz? Obiad ci wystygniee.

— Już idę! — zawołał ksiądz. — Mama poczeka. —

A do Wyborka: — Dlaczego Kalwin się powiesił, no, panie sołtysie?

Wyborek wzruszył ramionami, Grzęda rzekł niepewnie:

— To nie księdza proboszcza i nie nasza sprawa. Nie my go będziemy sądzili. Umarłych należy pogrzebać.

— Bo gryzło go sumienie. Was też...

— Niech ksiądz da spokój. Księdza nie gryzie. Tyle lat Kalwin był za kościelnego, całymi dniami sprzątał kościół, grabił liście przed plebanią, pilnował cmentarza... a ksiądz wyrzucił go? Że stary? Za to? Pytam po raz ostatni, czy ksiądz proboszcz pójdzie na cmentarz?

— Nie.

— Nie to nie, ale od dziś ani ja, ani Grzęda, ani nikt nie da złotówki na budowę plebanii. Chce ksiądz, wyremontujemy starą, założymy centralne ogrzewanie w kościele, doprowadzimy wodę do plebanii. Na tacę też będziemy rzucali po tyle, ile kto chce.

— Łotry, straszycie mnie? Wy...? Wynocha!

— Odwdzięczamy się jak bracia chrześcijanie — furknął sołtys. — Chcemy żyć nie tylko w Bramsku, a i w Bogu — przypomniał słowa księdza.

Do zakrystii weszła matka księdza Rabiegi, założyła ręce na piersiach, brwi ściągnęła i przez wąskie szparki obserwowała Wyborka, na Grzędę nie zwracała uwagi.

— Do rzeki wrzućta go. Zenon, obiad ci wystygnie — powiedziała do księdza. — Komunisty. Że też gadasz z nimi? Zenon, na obiad — tupnęła nogami o posadzkę.

— Chodźcie, Grzęda, tu nie ma z kim rozmawiać. A myśmy zawsze myśleli, że ksiądz jest po to... — Wyborek nie dokończył, ręką przeciął powietrze na ukos, wyszedł z zakrystii zły na proboszcza.

Jeszcze tego samego dnia Anin i Palewicz wykopali na cmentarzu dół, na przekór księdzu nie pod pło-

tem, lecz przy samym krzyżu, gdzie zawsze najwięcej słońca, a w dzień Wszystkich Świętych tylu przyjezdnych, że nie wiadomo kto do kogo. I na przekór proboszczowi grupka ludzi szła za wozem Anina, na którym podskakiwała pomalowana na brązowo skrzynia, i śpiewała jak na zwyczajnym pogrzebie, i wspominała Kalwina. A kiedy mężczyźni spuścili skrzynię do dołu, zapanowała taka cisza, że było słychać stukanie dzięcioła w lesie oplatającym cmentarz, gdakanie kur we wsi, gwizd pociągu i mycenie krów na przykanalskich pastwiskach. Ludzie stali i czekali nie wiadomo na co, ktoś powinien coś powiedzieć, dać znak Andrzejowi, by rzucił pierwszą garść ziemi na wieko skrzyni.

— Tak nie można — odezwał się Andrzej. Jawdosia nie zrozumiała, otarła oczy. — Jaa go przyprzywiozę. Wsadzę do aauta siłą. Poczekaјcie. On musi być na cmentarzu — dorzucił idąc w stronę furtki. — Kalwin będzie miał pogrzeb kościelny.

Długo nie czekali, proboszcz szedł przodem, Andrzej za nim, jakby się bał, że ksiądz ucieknie. Ludzie rozstąpili się, uklękli na ziemi, ksiądz ani się odezwał, ani nie wziął piasku w garść, nie spojrzał na nikogo.

— Niech ksiądz proproboszcz zaaczyna — rzekł Andrzej. — Zapłacimy po pogrzebie.

— Nie. Siłą nikt mnie nie zmusi.

— My księdza proboszcza prosimy.

— Toż umarł człowiek.

— Kalwin... kościelny...

Ksiądz odwrócił się, przez nikogo nie zatrzymywany odszedł, w furtce przystanął i ręką zrobił znak krzyża. To wystarczyło, by Anin mocno ujął trzonek szpadla i zepchnął do dołu trochę ziemi. Gdy kopczyk piasku wilgotnego dokładnie wyznaczał Kalwinową mogiłę, ludzie uklękli raz jeszcze, Żuczycha zaczęła „Ojcze nasz” i choć było ono głośne, wyraźne, Wyborek ni-

czego nie słyszał. Przyzwyczajony do czarnego ornatu, powagi, z jaką każdy poprzedni ksiądz stał nad mogiłą, zastanawiał się, co powinien zrobić. Jego skrępowany umysł szukał najprostszego wyjścia. Jechać do biskupa? Przywieźć księdza Nowaka z Zulechowa? A, ucieszył się, mój Kazik przyjedzie na urlop.

— W niedzielę mój syn... — urwał, bo jeśli Kazik nie zgodzi się, nie zechce zadzierać z księdzem Rabie gą?

— No, jakby wasz Kazik... toż znał Kalwina. — Aninowi zabłyśły oczy. — I będzie po ludzku. Po chrześcijańsku.

— Po ludzku? — spytał sam siebie Wyborek. — Nie, to już nie będzie po ludzku. To będzie tylko po chrześcijańsku.

Wracali z cmentarza osowiali, nikt się nie odzywał, nawet Żuczyska wtuliła głowę w ramiona jakby się bała. Wyborka męczyła postawa księdza, bo żeby ktoś nowy w Bramsku wprowadzał własne porządki i wieś musiała się z nimi godzić?

— Nam taki ksiądz... — spojrzał na Grzędę — jest niepotrzebny. Ksiądz musi być jak człowiek.

— Teraz łatwiej zmienić naczelnika — stwierdził Grzęda przypominając sobie, ilu naczelników było przed Gnidą.

— Idziemy na plebanie. Wy za świadka, a ja mu powiem, że już nie jest naszym proboszczem. Nie zechce wyjechać, to załaduje się go na wóz Anina i wywiezie za las.

— Powiedzą, żeśmy zbuntowana parafia — ostrzegł Grzęda sołtysa.

— My u siebie, a ksiądz obcy.

— A...? Aaa? — jękał się Grzęda i szedł krok w krok z sołtysiem. — A wasz Kazik...?

— Przyjedzie na urlop, to porozmawiamy.

Jawdosia

— Ty jak Jawdosia — powiedział zgłodniały Cynaj do żony czekając w kuchni na zupę. — Długo jeszcze? Zara będzie autobus.

— Ja? — spytała obrażona. — Ja i Jawdosia? Już nie wiesz, co powiedzieć. To se idź do niej!

A on pomyślał, że daleko jego żonie do Jawdosi i gdyby tylko mógł, nie wstydził się, nie bał się ludzkiej obmowy, poszedłby pod pałac choć popatrzeć w okno Jawdosi, a w nocy leżąc pod pierzyną przy żonie rozmyślałby tylko o tamtej. Jawdosia to nie byle kobieta. Przysadzista, na krótkich i pękatych nogach, o włosach lnianych, twarzy pociągłej i jasnej jak dojrziała dynia, lat trzydziestu, może trochę więcej, prawdziwa kusiajda, ale wcale niebrzydka, podobna do Gnidziny, gdy była młodsza. Ludzie od dawna nazywają ją Jawdosią, chociaż ma swoje urzędowe nazwisko, obce, ani bliskie Cynajom, Knastom albo Wyborkom. Gagenbager czy Pabengager, czy Gaberpagen? Więc je zapomnieli, bo ani tego wymówić, ani zapisać. Imię jej też jest bezdźwięczne i dziwaczne. Jeśli w sklepie czy zlewni padało: Jawdosia, cała wieś wiedziała, że to nie kto inny, tylko matka Heńka-pastucha.

Dlaczego zamieszkała w Bramsku, a nie w Zulechowie czy Zielonej Górze, gdzie samotnych kobiet wiele i nikt nie wytykałby jej palcem, tego wieś nie wie. Któregoś dnia, dziesięć lub dwanaście lat temu, zimą

przyjechała do majątku, wynajęła pokój w pałacu i została. Ludzie powiadają, że ten i ów czasem pod osłoną bezgwiezdnej nocy chodzi do niej, a Kosowa najczęściej widziała Gnidę, gdy jeszcze nie był naczelnikiem gminy. Kobiety przypatrywały się Heńkowi, szukały znaków szczególnych, choćby odstających uszu czy pieprzyka pod okiem, lecz niczego, żadnej skazy nie mogły wypatrzeć. Heniek był bardziej podobny do Wyborka niż do Gnidy, a gdy włókł się za krowami, to jakoś tak zarzucał nogą i śmiał się głupkowato, szeroko rozdziawiając mięsiste usta, wtedy ślina ciekła mu po brodzie jak pomyłonej Anielce. Czyja jest Anielka, wieś też nie wie, na pewno nie Palewicza, za stary, chociaż mieszka u niego, pasie krowy, w żniwa podaje snopy na wóz, jesienią zbiera kartofle za kopaczką. Może także Gnidy albo Wyborka? To jedynie domysły, paplanie Kosowej.

— Wyborek bogatyj, dajet ji sto złotych, żeb mołczała.

— Kosowa widziała, co on jej daje?

— Jej Bohu — zaklina się Kosowa, a kobiety w śmiech, bo gdyby to Gnida płacił po sto złotych, nikt by się nie dziwił, majątny i naczelnik, stać go, ale Wyborek? Powiesił się Kalwin, cała wieś składała się na mszę, a Wyborek nie. Był raz czy dwa u Jawdosi, czy tylko on? Chłopów zawsze ciągnie do pałacu. — Jej Bohu, żeb mne był kaput.

— Nie przysięgajta, matka, nie przysięgajta, boście gównem widzieli — Cynajka na to.

— Popytojcie w sklepie, Kriyska musi wiy?

— Co ona tam wie, taka sama szlaja.

Jawdosia wcale, a wcale nie zważała na kobiece zaczepki jakby niczego nie słyszała i nikogo nie widziała. Z głową wciśniętą w ramiona przemykała przez wieś

niekiedy mówiąc: dzień dobry, ale nikt nie odpowiadał jej. Zdarzało się, że deszczową jesienią któryś z bogatszych gospodarzy wołał ją do młocki albo zbierania kartofli za bronami, nie odmawiała, całe popołudnia milcząc schylona pracowała jak na swoim. A inne kobiety zachłannym wzrokiem wodziły to za Gnidą, to za Wyborkiem, to za Andrzejem, wychodziły na drogę, przygadywały to temu, to tamtemu, lecz wieś jakby niczego nie słyszała. Łonka przychodziła do sklepu i śmiała się z Kryski podśpiewując: Poszła Krysia na żołyńdzie, ach mój Boże, co to byńdzie, i znalazła żołądz taką, niy muogła jum w rynce uobjuńć. Jawdosia do nikogo się nie odzywała, dzień dobry, do widzenia — najwyżej tyle. Widziano ją mało, niekiedy rano, nigdy w niedzielę. Co wtedy robiła, spała, a z kim, prala, może o brzasku wyjeżdżała do Zulechowa albo jeszcze dalej, tego wieś nie wiedziała. Nawet nigdy nie było jej na sumie.

— Za chłopami musi lata? — zgadywała Palewiczka.

— Za waszym najwiyncey — docinała jej Stockowa.

— Komu baba ugotuje dobry obiad, nie pójdzie szukać gospody — bronił się Wyborek.

Każdego dnia, świątek-piątek, plucha-zawierucha, wczesnym rankiem, gdy już gdzieniegdzie ustawione latarnie rzucały skąpe światło na perony, Jawdosia rajcowała po niewielkiej poczekalni śmierdzącej niedopałkami papierosów, wódką, ogryzkami, zjełczałą kaszan-ką.

Nieliczni podróżni i kolejarze widzieli ją wciskającą długi trzonek brzozonej miotły pod kufajkę i zmiatającą resztki, to znowu na tych swoich za krótkich nogach biegającą wzdłuż obu peronów i wcale nie zważającą na ludzi. Nie stał nad nią ani zawiadowca, ani brygadzysta, a ona w zapracowaniu nie poznawała nikogo. Skończyła sprzątanie peronów, ze śmietników

i wiader wybierała szmaty, butelki po wódce, winie, piwie, przeczytane gazety, składała to w kantorku przyklepionym do nastawni, który był jej szatnią i rupiecarnią, a potem przygnieciona obrzemkiem odpadków szła do składnicy i sprzedawała je. Z dziadowskiej pensji sprzątaczkii nie utrzymałaby Heńka i siebie.

Wyborczycha rozpowiadała po Bramsku, że naczelnik wołał Jawdosię do urzędu i kazał jej brać paczki. Kręciła głową, śmiała się, że nie jest dziadówką jak Lońka, a wieś znowu się dziwiła, bo Jawdosia samotna, biedna i taka honorowa. Inni wyciągali ręce, prosili Gnidę o mąkę, cukier, sól, szli na plebanie do księdza Kaczmarczyka, który po księdzu Rabiedze był proboszczem, też skamlali o szczyptę mąki czy cukru, a Jawdosia nie. Wcale nie musi być sprzątaczką, to z tym, to z tamtym by się zaszyła na godzinę czy dwie w kantorze albo za majątkowym stogiem i co, nie dałby jej który stu albo dwustu złotych? Dałby, dałby, twierdzi Wyborczycha, i wódkę by przyniósł, i kupił nową sukienkę, bo Jawdosia, jak domyśla się Wyborczycha, wiele potrafi. Gdzie sklepowej Kryśce do niej? Biednie by żyła? Ho, ho! miałyby na chleb z masłem, na futra, a ile przyjemności, ile uciechy, bo to dzisiaj z tym, jutro z tamtym, gdyby trafił się bogatszy, to by i marek nie pożałował i masz na łaszki, masz na pierścionki, kup se co w mieście. Wyborczycha dobrze wie, co się teraz robi w miastach, co w szpitalach, co na budowach.

— Dokąd ci się spieszy, Jawdosia? — często zatrzymywali ją osmoleni, utyłani smarami kolejarze.

— Nie masz chęci dowiedzieć się, co chłop potrafi? A może ty jeszcze prawiczka, co?!

— Prawiczka, prawiczka jak Kryśka — rzucał któryś, a kolejarze uderzali w gromki śmiech. — Duch

święty wstąpił na nią. A bajstruk? Dawała Gnidzie, to i ma.

— Z czym wy, Anin, do mnie? Swojej babie nie możecie dać rady. Maciejak, gdyby nie wasz teść, Anin nie miałby komu ziemi zostawić.

— Co?! — zaperzył się Anin i już zerwał się z ławki, podwija rękawy koszuli.

— Dosrała ci, Stachu.

— Popatrz po sobie, łapciuchu. Gdyby nie paczki i ludzie, twoje bachory jęczałyby z głodu. Obrabiasz, obrabiasz, ale jęzorem! W gębach wszyscyście mocni!

Taka była odważna, a jaka zadziorna, jaka pyskata. O, Jawdosia niejednego wywiodła w pole i jeszcze wytrząsała go po pysku, że ze wstydem w oczach umykał do domu między przykanalskimi ogrodami.

— Język masz cięty jak naostrzone nożyce, cha, cha, cha! Małe to, a różnie wielkoluda. Czemuś nie poszła do biura, jakeś taka грамотna? — odcinali się pięknym za nadobne kolejarze, ale i z podziwu kręcili głowami, i bali się Jawdosi.

— Wziąłbys się, łapciuchu, za porządną robotę — odpowiadała nie przebierając w słowach. — Nie wiadomo za co kolej ci płaci. Z daleka śmierzisz leniem. Pfe, pfe — sfluwała, obracając wszystko w żarty. — I jeszcze cudzej baby ci się zachciewa?

— Tyś cudza?! Cudza to znaczy czyja? Może Gnidy kochanica?

Odchodząc usłyszała już zupełnie ciche:

— Cięta baba. Gdzie, Stachu, twojej Ceśce do Jawdosi?

— Z taką by się chciało — zięć Wyborka aż cmoknął. — Już bym ją wystrzelał, wyszmulął, że och!

— Na nią trza dobrego ogiera.

Tak sobie żartowali z Jawdosi prawie każdego dnia, mieli ją za głupszą niż Kryśka, za pomyloną jak Aniel-

ka i niegodną litości, dla nich: wypasionych, dumnych, cwanych nie była kobietą, a rzeczą, którą można brać w osmolone łapska i przerzucać z miejsca na miejsce, ciskać w chaszcze dzikiego bzu, rozciągać w ciemnym kącie, gwałcić bezkarnie. Było w tym cokolwiek prawdy, nie więcej niż brudu za paznokciami: wiejskie kobiety nie powinny zmiatać śmieci stacyjnych, miotłą zarabiać na chleb i patrzeć na chłopów, ukradkiem popijających najtańsze wino. Wiejskie kobiety są stworzone do dojenia krów, karmienia świń, rodzenia dzieci, by na ojcowiznie miał kto orać, siać, kosić, kiedy ciała ojców w wilgotnym piasku za Podłą Górą. Ale Jawdosia, która przyjechała do Bramska nie wiadomo skąd i po co, wcale nie była kobietą wiejską. Ręce miała drobne, nie ojkała ani nie chamląła jak Kosowa, nie śpiewała za krowami, nie chodziła w łapciach, w ogóle była inna. Kusiajda i już, powitrułycia. I to niepokoiło wieś, a już najbardziej Wyborczychę. Gdyby Jawdosia wydała się za kawalera czy wdowca, na pewno któryś by ją chciał, choć biedna i obca, choćby Stacho Kopfel albo najstarszy Palewiczak, byłaby kobietą wiejską, czyli swoją, lecz ona, gdy napomykano o zamążpójściu, parskała śmiechem.

— Co to, to nie. Jam nie dla byle chłopca.

— Nie? A ja bym się nawet nie namysłała — powiedziała sklepowa Kryśka, męcząca się w staropaniństwie. — Żeby tylko Stacho kiwnął palcem, rzuciłabym sklep i goniłabym do niego.

— Mogłam być mężatką, mieszkać w Zielonej Górze, nic nie robić — pochwaliła się Jawdosia.

— Ty w mieście?

— Mogłam wyjechać za granicę. Do tamtych Niemiec na przykład. Wszystko mogłam. Wolę jednak to, co mam w Bramsku. To moje.

Kryśka tylko rozdziawiła usta, nic z tego nie zrozumiała. Bo co Jawdosia ma? Dom? Chłopa? Pieniądze? Fiata?

— Ty się lepiej przyznaj, coś za jedna — Kryśka ruszyła do ataku. — Nasłali cię?

Jawdosia uśmiechnęła się tajemniczo i to było najtrudniejsze do zniesienia, bo tyle lat już mieszka w Bramsku, a Kryśka nic nie wie o niej. No teraz jakby coś więcej, ale co Jawdosia powiedziała? Wierzyć? To prawda?

— Z zagranicą prawda? — Kryśka łokciami wsparła się o ladę. — Byłabyś...?

— Tyle ludzi nie może spokojnie spać po nocach, śnią im się tamte Niemcy, dlaczego nie wyjadą? Niczego nie tracą. Pobędą i wrócą.

— A do kogo tam?

— Mają rodziny — przypomniała jej Jawdosia. — Stock ma brata, Wyborek też, chyba i Knast...? Dostają paczki, listy, pieniądze. Nie chwalą się? Od obcych by dostawali? Porozmawiaj ze Stefanem Stocka, jeszcze kawaler, namów go.

— Zechce? Ma się uczyć za doktora — odrzekła Kryśka i postawiła na ladzie dwie szklanki najtańszego wina. — O, żeby Stefan chciał!

— Jesteś kobietą, a kobieta, powiadają, wiele może.

Oczy Kryśki zabłysły jak dwa lusterka. Podniosła szklankę i bez odrywania ust wypila wino, resztkę wytrząsnęła na podłogę.

— Pojechać do tamtych Niemiec — rozmarzyła się Kryśka. — Nic nie robić, ubierać się, to byłoby życie. Co ja mam w Bramsku? Gadają o mnie, że się puszczam z każdym.

— O mnie też gadają.

Koło obiadu, gdy słońce jeszcze nie przewaliło się za rzekę, Jawdosia wracała do pałacu zaglądając w okna

sklepów, w których tego roku było więcej pólek niż towarów na nich. W spożywczym zatrzymała się na dłużej, kupiła chleb, margarynę, olej, włożyła to wszystko do siatki i już pedałowala prosto do Bramska, do syna. Heniek od rana pasł gospodarskie krowy, dopiero w obiad zganiał je do wsi, gdy pociąg gwizdał na trzecią, pokrzykując pędził krowią czeredę na łąki, by mglistym wieczorem wrócić do sennego Bramska. Tylko jego miała Jawdosia. No i ten rower marki Stadion, który kiedyś dostała od Gnidy, stary, skrzypiący, oblaźły z farby.

— Pomocy, Jawdosia! Kobita sie sypie! — Cynaj, szeroko rozciągnawszy ręce, zatrzymał ją na drodze przed kościołem. — Od samiotkiego ranka czekam, łóżko mokre, kobita stenka. Już żem chciał jechać na stacje po ciebie. A co ty dzisiaj tak długo?

— Wasza kobita, Cynaj? — spytała przedrzeźniająco.

— No. O inne ja by sie martwił? Co to, ja Gnida, żeby...? — urwał, zaczerwienił się, wzrok wbił w ziemię.

Jawdosia wyplątała nogi z roweru, w biegu zdejmowała z siebie zniszczony kaftan i jakby zamykała się w sobie, przeżyła myśli, ale jeszcze nie wierzyła, że Cynaj aż tyle godzin czekał na nią. Bo może żartuje sobie? Kosowa, jego teściowa, wymyśliła co?

— Czemu tak późno? Na felczera nie stać was? Żałujecie pieniędzy?! — krzyknęła, a Cynaj przystanął i znieruchomiał.

— No ty, Kryśka gada, akuszerkaś.

— Śmieje się. Myślicie, że nie wiem, co ludzie rozpowiadają o mnie? A niech tam!

— Eee, jakie ludzie? Kryśka...

— Wy, Cynaj. Wasza kobita — zaakcentowała to wyraźnie. — Teściowa. Cała wieś się śmieje.

— Eee... bo ja wiym? E... eee... — jękał się jak Andrzej ogrodnik. Przypomniało się Cynajowi, że nie kto inny, lecz on przywiózł Jawdosię do Bramska. Cynaj nie widział tego, wezwali go wtedy do wojska, ale cokolwiek słyszał w sklepie. Ludzie mówili, że Andrzej przywiózł Jawdosię z tamtych Niemiec.

— Felczera Cynaj by zawołał.

— Był ja. Pijany jak... jak... To pijaka brać?

— Trzeba było wzywać pogotowie.

— Bo moja chora? O, urodzi i do roboty.

W domu Jawdosia zostawiła do pomocy tylko Palewiczkę i niczym najlepiej wyszkolona akuszerka obejrzała Cynajową żonę. A kiedy upewniła się, że poród tuż-tuż, zaśpiewała po Cynajowemu:

Czoho ty tu przyszła, czoho ty tu siła,
kiet ty ne robyła, szto ty budesz iła,
kiet ja ne robyła, to muž na nio robył,
ja sama ne przyszła, czoho po nio chodył.

— Ty to znasz? — spytał zdziwiony Cynaj, ale ona nie odpowiedziała, jakby nie usłyszała, machnęła ręką.

Cynajowa spocona, potargana, odziana tylko w białosć i strach, cicho postękiwała, wylupionymi z boleści oczyma prosiła o pomoc, chwytając ozdrowcze powietrze próbowała coś powiedzieć, lecz Jawdosia nie słuchała jej. Z punktualnością zegarka Cynajowa wzbierała w sobie, prężyła się, to zagryzała wargi spierzchnięte, to znowu zaciskała kikuty zębów i z jękiem opadała na łóżko, wtedy było jej lżej.

— Drzwi zamknijcie na haczyk. Zasłońcie firanki — rozkazała Jawdosia. — I powiedzcie Cynajowi, żeby co sił w nogach gnał po wino, bo zaraz będziemy wyprawiali pępkowe — śmiała się, a Palewiczka nie wiedziała, jak się zachować, bo gdyby Wyborczycha powiedziała coś podobnego, nie odmówiłaby, ale to Jaw-

dosia, powitrułycia. Nie gadaliby o niej ludzie, gdyby czegoś nie wiedzieli.

Za drzwiami na ganku zebrały się kobiety, może tylko Kryśki brakowało, i paplały. Bo żeby panna była przy rodzącej? No, jakby swojaczka, ale obca?

Nikt nie pamięta, kto pierwszy rozpoznał w Jawdosii zawołaną akuszerkę. Wiadomo tyle że felczer, odkąd Jawdosia w Bramsku, nie poplamiał swoich rąk kobiecą krwią. Gdzie się tego nauczyła, kobiety nie wiedzą i nie mają odwagi spytać. Kogo pytać: Gnidę, Andrzeja, może ją? A Jawdosia nikomu nie odmówiła pomocy, odbierała dzieci gospodarzy i znajduchy. Iluż bękartów w pokorze wysłuchuje pytań o ojca, z zazdrości kulakami rozbija głowy gospodarskich rówieśników! Znajduchowate ręce są bardziej kościste i zwinniejsze, samodzielniejsze i jakby od maleńkości dorosłe. Bo to już tak jest, że nie ojciec, lecz matka i świat samodzielnie poznawany najlepiej dokształcają chłopców, szczęścia uczą na własnych niepowodzeniach. Znajduch nie pójdzie z kosą na ugór, a syn gospodarza, ho, ho, nie zaznawszy biedy będzie kosił chwasty!

— Jeszcze cieplej wody! — zawołała Jawdosia na cały głos. — Grzejcie, nie ma co żałować. Od wody nikt nie umarł, a z brudu...? — rzuciła spojrzenie na Palewiczkę i pożałowała tego.

Na ganku kobiety paplały a skakały do siebie, a już najbardziej zadziorna była Wyborczycha. Bramsk zmienił się, bo i asfaltówka aż do lasu, i w co drugim domu pralka, lodówka, Gnida ma nawet zamrażarkę, ale kobiety po dawnemu rodzą pod własnymi dachami i w łózkach, w których poczęły się dzieci. Co się felczer natłumaczył, ile razy groził sądem, czytał książki, wyświetlał filmy, nie pomaga. No, gdyby we wsi nie było Jawdosi, może by jęcząc jechały do Zulechowa, ale Jawdosia jest, więc rodzą w domach jak ich matki

i babki. Tylko tyle zostało z tamtych lat, wszystko inne się zmieniło nie do poznania. Nikt już nie rozpozna, która autochtonka, która z Polesia, a która spod Szamotuł, czasem mówią po swojemu, rzadko i tylko w złości.

— Cicho, cichooo, Cynajka, wytrzymasz jeszcze kilka minut. O, o, zaraz będzie po wszystkim, urodzisz syna. Na drugi raz — uśmiechnęła się sama do siebie — będziesz uważniejsza. Kiedy przyjemność, to przyjemność, ale i trzeba pocierpieć. Nie ma szczęścia bez cierpienia. To słodki ból, zapomina się o nim najszybciej — dodawała otuchy. Palewiczka stała obok, ocierała spocone czoło Cynajowej i przyglądała się, jak Jawdosia to nasłuchuje, to myje ręce, to kładzie te ręce na brzuchu Cynajki. — Obędzie się bez porodówki. Obmyjemy, zaprziesz się i po wszystkim. Sama się przekonasz, Cynajka, jakie to miłe. Najtrudniej pierwszy raz, potem... No, potem... ale to już inna sprawa.

Kobiety oblegały dom z wszystkich stron, były i na ganku, i na drodze, rozpląszczały pulchne nosy na szybach nie mytych od zimy. Wyglądało na to, że zapomniały o przesądach, które we wsi jeszcze powtarzano głosami podnieconymi. Jawdosia, gdy je słyszała, śmiała się:

— Nie ma człowieka, który nie miałby jakichś grzechów na sumieniu.

Cynajowa poleży pod pierzyną dwa lub trzy dni, zapomni o bólu i będzie się cieszyła nie tylko pierwszym, lecz i dojrzewającym polem, ogrodem, krowami i znowu urodzi Cynajátko, bo na pewno na jednym dziecku nigdy się nie kończy. Jedno na ojcowiznę, drugie do miasta, trzecie dla Pana Boga, czwarte, piąte do pomocy pierwszemu. Wiejskie kobiety powinny rodzić zaraz po opadnięciu ostatnich liści z lip, a nie po spłynięciu lodów Obrą, kiedy szykuje się w po-

lu największa robota. Lecz w Bramsku nijak nie potrafią ustalić miesięcy pługowych, rodzą więc kobiety kiedy popadnie, najczęściej zaraz po młócce.

Stara Kosowa, teściowa Cynaja, znalazła swoje miejsce w oborze, najpierw oburącz długo gładziła kuliste boki Mećki, za którymi także rozwijało się nowe życie, potem lewą ręką dusiła to miejsce najdelikatniejsze i przez kikuty zębów spluwała na wiecheć słomy żytniej, ukrecony jak laleczka. Tym sposobem przywoływała wnuczkę. Drugi raz w swoim sześćdziesięcioletnim stąpaniu po ziemi prosi o wnuczkę. Dawała na mszę, zawieszała święte obrazki nad łóżkiem córki, modliła się, a teraz czaruje. Widocznie sumienie ma nie najczystsze albo czary sfalszowane, ale ona wierzy.

— Dobry Pane Jezu, posłuszaj ty mnie i daj unusię. Zaczem mnie unuk, Pane Jezu? Tak budzie jak Ihnalko, czeloweka ne uważa, unusia... Tfu, tfu, tfu — spluwała na laleczkę i robiła znak krzyża nad grzbietem Mećki. — Tolko unusiu daj mnie, żeb była kak ja, i do kostioła... Ihnalko, dobry Pane Jezu... żeb zdureł kak Zbycho. Czort przeklaty! Tfu, tfu, tfu. On mnie skazał, szto ja padleca i choteł zarezac kak sobaku.

Na próżno babka Kosowa targowała się o wnuczkę, dobry Pan Jezus nie wysłuchał jej prośby, a może i nie spodziewał się, że Kosowa aż w oborze? Zresztą, jeśli on naprawdę jeszcze jest, to chyba podobnej prośby nie słyszał. Każde dziecko, chłopiec czy dziewczynka, jednakowo bywa oczekiwane przez rodziców.

Cynajka, przebrana w czystą koszulę, odpoczywała w łóżku, które szczelnie obstąpiły sąsiadki. Nie odzywając się do żadnej, jeszcze przekrwionymi oczyma patrzyła przed siebie, wzrok zawiesiła na piecu kaflowym, ale nie była to twarz kobiety utrudzonej, już pojawiały się na niej krótkotrwałe i jakby oszczędne uśmiechy. A sąsiadki z zaciekawieniem to zerkały na Cynaj-

kę, to na zawiniątko, z którego wcale nie wydobywał się płacz niemowlaka. Małe najspokojniej spało, jeszcze nie wiedziało o Cynajowej dumie i o tym, że musi być następcą. Cynaj, ożeniony zeszłej zimy, już zapisał mu ojcowiznę.

Wyborczycha podeszła bliżej łóżka i powiedziała cicho:

— Musi trza ochrzcić, na razie z wody.

Cynajka wcale nie podniosła głowy, nawet nie mrugnęła oczyma, jakby nikogo nie słyszała, tylko patrzyła na piec, więc Wyborczycha powtórzyła głośniej. Cynajka nic. Palewiczka przyniosła kubek wody prosto ze studni.

— Za zimna — stwierdziła Jawdosia. — Ogrzejcie w kuchni, bo przeziębicie dziecko.

— Patrzajta, baby, jaka mądra! — zaśmiała się Palewiczka.

— My zawsze chrzcili zimno wodą.

— Ma Bóg zabrać, weźmie i bez ogrzewania — rzekła Wyborczycha.

Jawdosi się wydawało, że soltysina mądrzejsza.

— Wołajta Cynaja, niech powi, jakie imię. Pierwszy syn, to wybiera ojciec.

— Może z kalyndorza? Którego mamy? — Wyborczycha nie odpowiedziała, więc Stockowa podeszła do drzwi, na których wisiał kalendarz wycięty z gazety. — Dziwionty. Damiana. E, takie iymie. Ja by dała: Jan abo Adam.

— Adam było Kalwinowi — przypomniała Palewiczka.

— To Jan.

— Kazimierz — podpowiedziała nieśmiało Wyborczycha. — Jak mój starszy.

Żadna się nie odezwała, wszystkie czekały na powrót Cynaja, który popędził do sklepu po wino. Jaw-

dosia jeszcze się krzątała wokół łóżka, jak najdokładniej myła ręce, poprawiała poduszkę i pierzynę, a gdy stara Kosowa ni z tego, ni z owego uderzyła w lament, ze złością powiedziała:

— Cieszcie się, babciu, że córka żyje. Niewiele brakowało, a byście odprowadzały ją na Podlę Górę. Chłopak wielki, bez pomocy nie ujrzałby waszego świata. Zamiast chrzcin, musielibyście szykować konsulację.

— Unusia. Żeb Pan Jezus posłuszał mnie, żeb dał unusiu. A to kto? Padleca kak Ihnalko! — wrzasnęła.

— To jakie imię? — spytała Wyborczycha, gdy tylko wrócił zadowolony Cynaj. — Kazimierz?

— Heniek! Bedzie Heniek. Jawdosia, ty go przyjmowała, ty go ochrzcij! — I wziął Cynaj Jawdosię pod ramię, podprowadził do łóżka, w wielkie dłonie ujął zawiniątko. — No, chrzcij!

— Ne. Neeee! — zawyła Kosowa.

— Kurwaa! Kurwa ma chrzcic?! Taż rzuci urok na bachora — bez namysłu palnęła Wyborczycha.

— Kurwa kolejarska!

— Gnidowa kurwa!

Cynaj ogłupiały trzymał zawiniątko na rękach, nie wiedział, kogo bronić, bo gdyby ujął się za Jawdosię, to kobiety zaraz do niego z pazurami, a jeśli kobiety weźmie w obronę...?

— Każdy chciałby być kimś innym niż jest — powiedziała cicho Jawdosia. Było jej przykro i gdyby nie to, że nie może jeszcze odejść, bo trzeba pępowinę posmarować maścią, dawno by wyszła.

— Dobry Pane Jezu... — Kosowa złożyła ręce i bach na kolana, aż podłoga zadrżała. — Żeb ty podochła, blać Gnidowa! Żeb tebe durnowaty Zbycho zarezal! — Stara rzucała przekleństwa, a ręce wciąż miała złożone. Naraz poderwała się, skoczyła na łóżko i kopiąc nogami odpychała od siebie zięcia. Cynaj chwycił ją za

włosy, zwałił na podłogę. — Za szto ty, dobry Pane Jez-u, tak mne...? Tak ja u nedelu idu, szto... sukinsyn ty! i na upomynki daju... sukinsyn!... i blać Gnidowa!

— Za łeb jo! — Palewiczka pierwsza dopadła do Jawdosi.

— Do studni!

— Niy! Na piyniek!

— Ciii, baby! — dopiero teraz wrzasnął Cynaj. -- A wynocha! A wszystkie! Teściowa tee!

Dziecko zakwiliło, obudzone kręciło główką jakby szukało matczynego cycka. Cynaj nie wiedział, dlaczego ono płacze, więc położył zawiniątek przy żonie. Cynajowa długo wpatrywała się w żółtawą, pomarszczoną twarzyczkę, nic nie mówiła, uśmiechała się sama do siebie. Jawdosia patrzyła na nią, było jej rażniej.

— Ihnalko, trza ochrzcić — powiedziała cicho Cynajowa do męża. — Naprawdę ma być... Henryk?

— Henryk Ignacy. Drugie imie niech ma po mnie.

Jawdosia ostatnia zamknęła drzwi, wyszła na podwórze, przed nią wysypał się roztrzęsiony rój kobiety. Nie poddawały się, już nie tylko były wściekle na Jawdosię, lecz i na Cynaja, i na starą Kosową, ostrymi jęzorami przyszywały wielkie łaty całej Cynajowej rodzinie. Dziecko jeszcze nikomu nie wyrządziło krzywdy, a już z jego powodu kłótnia we wsi, i to jaka! Dawniej po czymś takim kobiety jechałyby do sądu, wybierały najlepszych adwokatów, wiozły w tobołkach co smaczniejsze polcie mięsa, byle prawda była po bogatszej stronie. Dla nich prawda i sprawiedliwość to jedność.

— Kurrwaa! — Wyborczycha stanęła w szerokim rozkroku, ręce założyła na piersiach. — Ino naszym chłopom zawraca głowy!

— Nie ma swojego, to lata za waszym.

— Za moim? Widziałś?

Lońka wypięła brzuch, rękoma opasała biodra, po-
ciągnęła nosem i rzuciła w stronę Jawdosi:

— Żeby ci cipa zarosła bodziakami!

— Kurwa kolejarska!

— Lepiy piylnuj swego znajducha, bo jo go...! —
Stockowa podniosła dłoń wysoko i pokazała, co może
zrobić Heńkowi.

— Tylko patrzeć, a które niewinne dziewczuszyko po-
ciągnie w łozinki. Taki wypierdek czuje wole boske.

— A nie brał sie za moje wnuczke?

— Uen?!

— Kto podpalił Łukasza? Samo sie zapaliło?

— Uen?!

— Kto ukrad barana? Co, mój nie widział?

— Wyborek gada, co baran sie znalaz — nieśmiało
przypomniła Palewiczka. — Był u Knasta na ogrodzie.

— Ukrad. Mówie wam, co ukrad.

— To i bez nio Kalwin sie powiesił.

— No pewnie.

Jawdosia zawyła, nie z rozpaczy, nie ze wstydu, tak
przeraźliwie, że kobiety umilkły, pootwieraly usta i sta-
ły jak skamieniałe, lecz tylko chwilę, bo zaraz dopadły
do niej z pięściami. Ale jeszcze nie biły, wymachiwały
zaciśniętymi kulakami, przekrzykiwały się. Jawdosia
chwyciła kolek, który na jej szczęście leżał pod pło-
tem, machnęła na oślep. Któraś dostała po głowie,
upadła, inna po nogach, Wyborczycha syczy trzymając
się za biodro, Lońka łapie się za łokieć, a Jawdosia ma-
cha na lewo, na prawo, przed siebie, w górę, w dół,
i jeszcze za siebie, w górę i w dół.

— Ja wam dam kurwę! Ja wam pokażę dziwkę Gni-
dy! Ja was...! — I tym kolkiem po głowach, po ple-
cach, po nogach, po rękach. — Ja wam dam kurwę ko-
lejarską!

Na ganku stanął Cynaj, wzrokiem tryumfującym objął kłębowisko, zadowolony uśmiechnął się.

— Dobrze, Jawdosia, daj im! A po dupach, po cymbałach! A daj!

— Ty taki sam skurwysyn jak ona! — Lońka biegnie do niego.

— Reks! — zawołał na psa. — A pogoń to tałatajstwo! — I do obitych, rozwścieczonych kobiet: — Nie macie roboty w domach?! A chłopu zanieś, jedna z drugo, kawał chleba w pole, bo ledwie łązi za pługiem! Rzygać się chce, jak się was widzi! — Splunął prosto pod nogi Lońki.

— Ta i wy czeho? Uwzieli się na Jaudosiu. — Za plecami Cynaja stała wygięta w pałąk Kosowa. — Na naszu Jaudosiu? Żeb ne ona, kto by pomógł Malwinie, ha?

Zawzięte, obite, wszystkie w milczeniu wysypały się na asfaltówkę pod okna domu, w którym Cynajowa pieściła swoje szczęście. Jawdosia też stała chwilę, ze spienionej czeredy wychwytywała kobiety najzadziorniejsze, liczyła je i segregowała, zapisując na długiej liście w pamięci. Im dłużej tak stała i liczyła, tym bardziej była wściekła.

— Ja was urządzę — powiedziała sama do siebie. — Ja wam udowodnię, że nie byłam niczyją kurwą. Ja was wydoję z pieniędzy. Będą chłopcy płaciły, będą znosiły, będą wystawały pod moim oknem.

Słońce wisiało już nad lasem. Heniek pogwizdując szedł przez wieś i zwoływał krowy na pastwisko.

— Dopiero teraz mama wraca? — spytał, a ona wcale nie odpowiedziała mu, tylko coraz pomstliwszym wzrokiem dziergała kobiety i przysięgała sobie, że będzie tą, za którą wieś ją bierze. — Maamaa! Kamień! — krzyknął Heniek przeraźliwie.

Jawdosia upadła na asfalt.

Nie jestem wariatem

Przyjechali oboje, pewnie zabiorą mnie do domu, pozwolą chodzić, czytać, nie będą się śmiali. Otworzyć oczy i spytać, czy już nigdy więcej nie nazwą mnie wariatem? Czym różnię się od Andrzeja? On chodzi po mojej samotni, kręci głową i dziwi się, że tu tak cicho, czysto i bezpiecznie.

— O, kukurwaa, tak se leżeć? Waariatów powinno się... — pociągnął ręką po szyi.

— Ciszej, Andrzej, Zbych chyba śpi? Spójrz, leży bez ruchu — powiedziała szeptem Matylda i zamysliła się. Po chwili, stanąwszy przy moim łóżku, dodała: — Śpi, jak smacznie.

— Wariat. Waariat. Zawsze mówowiłem, że wawaaariat. Po co to czeeekać? Od razu trza było go do zaaaakładu — słyszę nienawistny, ohydnie gruby głos Andrzeja, mojego starszego i jedyne go brata. Leżę nieruchomo, jakby mnie nie było, ale spod przymkniętych powiek spoglądam to na Andrzeja, to na ściany. Kościste i kostropate dłonie po łokcie utopił w kieszeniach kurtki, w kapeluszu człapie od okna do drzwi, od drzwi do okna. Człap-szłap, człap-szłap, człap-szłap. — Waaariat w rodzinie. Jak Boga kocham, waaariat! Dlaczego akurat mnie to nieszczęście spotkało? Rodzony brat waaariatem. — I człap-szłap. Człap-szłap, człap-szłap. Usta wykrzywione, pluje na podłogę, smarka w kącik, znowu pluje.

Matylda, moja bratowa, pytającym i drżącym wzrokiem szpera pod łóżkiem, wysuwa taboret, delikatnie stawia go przy pustej, odrapanej szafce, siada okra-kiem, niby poprawia kołdrę, ale rękę wsuwa daleko, dotyka mojej nogi. Przez krótką chwilę czuję obcość jej zimnej i szorstkiej dłoni. Potem: buch-buch-buch po zatechłej kołdrze.

— Niech se waariuje.

— Że też żaden pielęgniarz nie zajrzy do Zbycha? — dziwi się bratowa i tą zimną i szorstką dłonią czesze sztywne kikuty moich włosów. — Andrzej, ileś dał doktorowi? Może za mało? — Brat jeszcze się nie zatrzymał, człapie od drzwi do okna i z powrotem. Człap-szłap, człap-szłap. — Dodaj z pięć tysięcy, może i z siedem? Oni w ogóle tu nie zaglądają, zupełnie nie dbają o Zbycha. Jaka ta pościel brudna.

— Na wawaariata nie bede robił! — Dopiero teraz mój brat zatrzymał się, stanął w szerokim rozkroku, naburmuszony drapie się po udzie. Nie otwieram oczu, przez szparę między powiekami obserwuję ruchy jego nienormalne, widzę wymiętoszoną kurtkę skórzaną, białą koszulę non-iron z przodu zasłoniętą szerokim i już niemodnym krawatem, zielony kapelusz na czubku wielkiej i rudej głowy. Twarz, jak zawsze, nie ogolona, obciągnięta szerokimi bokobrodami, rude wąsy zasłaniają kąciki jakby spierzchniętych ust, głowa zadarta do góry, wzrok ślizgający się po suficie. — A mnie ktooo daje?!

— To twój jedyny brat, Andrzej — przypomina mu Matylda i nie wiadomo który już raz poprawia kołdrę. — Tak nie można, Andrzej. Najbliższego, choćby był głupkowaty, nigdy się nie opuszcza. Bardzo proszę cię, Andrzej, dodaj ordynatorowi z pięć tysięcy. Andrzej, Andrzej... Boże, jak on wygląda?!

Wariata zrobili ze mnie. Zrównali mnie z pomyłoną

Anielką, która ani nie chodziła do szkoły, ani nie jest geodetką, nie umie liczyć, czytać, rysować, nie potrafi prócz pasienia krów i łajdaczenia się z Palewiczem. Wyprosilili żółtą legitymację. Nie oboje, lecz on sam, mój starszy brat Andrzej. Bo Matylda jest inna. Gdybym umiał wytłumaczyć, powiedziałbym, że nie jestem wariatem. Jak ich przekonać? Ordynator wierzy Andrzejowi. Zamknęli mnie w tej klatce bez klamek, zasłonili okna firankami krat, dwa razy dziennie przez wziernik zagląдают do mojej samotni jakbym był rozwścieczonym kotem. Nie krzyczę, nie człapię po pokoju, całymi dniami leżę pod kołdrą i myślę, kto jest wariatem: Andrzej czy ja? Ordynator się dziwi. Wariat powinien tarabanić w drzwi, wybijać szyby, łamać stołki, pazurami zdzierać tynk ze ścian. Śpiewać. Krzyczeć. Charczeć. Gryźć pięści aż do białości skóry. Ja nie. Codziennie przed obiadem myję ręce. Czeszę się. Siadam przy szafce na taborecie. Zjadam wszystko. Składam blaszane talerze. Pukam do drzwi. Pytam, czy mogę przeczytać gazetę. Która godzina? Jak długo pozostanę w szpitalu? Kiedy wyleczą mnie? Zaraz na początku spytałem, czy w szpitalnej bibliotece mają „Sto lat samotności”. Odpowiedzieli, że bibliotekarka stoi w kolejce po „Obłąd” Krzysztonia. Cha, cha, cha! Kiedy indziej poprosiłem o przepustkę i bilet do teatru. Ordynator wyszydził mnie. Trzasnął drzwiami. Przedstawienie tylko dla personelu. Chciałem oglądać filmy, czytać czasopisma, książki, ale oni nie pozwalają, śmieją się ze mnie.

— Co cię boli? — Dopiero po miesiącu mojego pobytu w tym małym pokoju przyszedł taki jeden w białym, poszarpanym, poplamionym kitlu, ni to lekarz, ni łapiduch: oczy wielkie i wybałuszone, broda jak u prawosławnego popa, paznokcie brudne i dłuższe niż kurze pazury. Posadził mnie na stołku, chudymi

paluchami machnął przed nosem, chwycił mnie za ucho, uderzył w czoło. — Wodzić wzrokiem. Do góry. Na dół. W bok. Jeszcze język pokazać. Położyć się na łóżku. — Pięty kłuł tępą igłą, w kolano walił młoteczkiem. — Zgiąć nogi. Ręce wyciągnąć przed siebie. Podejść do okna... Pop idzie z laską. Popidzie z laską. Popidzie z laską. Popiǳdzie...

— Proszę? — spytałem i zdziwiony usiadłem na krawędzi łóżka, z dala od niego. — Co to oznacza? Pan robi ze mnie wariata.

Rozkraczony pielęgniarz, jakby sikał pod stodołą, żując gumę stał przy drzwiach, machał pałką gumową, palcem dłubał w papuasim nochalu. Udawał, że patrzy za okno.

— Wyleczymy. Kilka tygodni i wyleczymy. Tylko spokój i spokój. Żadnych książek, gazet, radia. Nic a nic. Pełna izolacja. Primum non nocere.

— Mnie, panie doktorze, nic nie boli. Ja cierpię na...

— Nie czekać! — wrzasnął pielęgniarz i podniósł pałkę wysoko, dotykając sufitu. — Przypieprzę, wariacie.

— Tak, tak. Nic nie boli. Za kilka tygodni wypiszemy do domciu, do żonki, do łóżeczka. Przepiszemy dobre lekarstwa zagraniczne, zalecimy trening autogeniczny, dwa razy dziennie kuracja rehabilitacyjna w ogrodzie feminicznym... ee... To powinno wystarczyć. Tylko spokój i spokój — niby uśmiechał się do mnie. — Osiem dodać osiem?

— Szesnaście.

— Na pewno? Osiem odjąć osiem?

— Zero.

— Osiem razy osiem?

— Sześćdziesiąt cztery.

— Na pewno?... Czy Pan Bóg ma oczy?

— Nie ma. Gdyby je miał, nie pozwoliłby mnie zamknąć w tym szpitalu.

— A wasy?

— Wasy są drugorzędną cechą płciową.

— Osiem plus osiem?

— Szesnaście.

— Dwa razy osiem?

— Szesnaście.

— Pan Bóg jest kobietą?

— Nie.

— Mężczyzną?

— Biblia nic o tym nie mówi.

— To kim?!

— Bogiem... Panie doktorze, od dziecka cierpię na epilepsję — tłumaczyłem, lecz on już nie słuchał. Zamknął zeszyt, ręce założył na piersiach jakby się modlił i zezowatym wzrokiem dał znak pielęgniarzowi. — To choroba świętego Walentego.

— Do łóżka, wariacie!

Zamknięty w samotni nawet nie wiem, jak długo tu jestem. Może rok? Może pięć lat? Przestałem liczyć dni. Początkowo rysowałem paznokciami na ścianie krechy, ale kiedy jakaś inspekcja stwierdziła, że ściany są brudne, zamalowano mój kalendarz. Ściany pokryto farbą olejną tak grubo, że musiałbym łyżką ryć w nich rowki. Później w szafce składałem obcięte paznokcie. Dziesięć oznaczało miesiąc, bo każdego pierwszego dnia miesiąca pielęgniarz obcinał mi paznokcie u obu rąk. U nóg co dwa miesiące. Od kiedy kłują mnie bezbolesnymi zastrzykami, paznokcie przestały odrastać. Więc zgubiłem się w kalendarzu.

Spod przymkniętych powiek obserwuję Matyldę, chciałbym pełnym wzrokiem spojrzeć na nią, sprawdzić, czy bratowa znowu w ciąży. Jeśli Andrzej zauważy? Powie, jak wtedy w szklarni, że rzuciłem się na

jego żonę? Nigdy nie tknąłbym Matyldy. Kocham ją jak siostrę, chociaż jest tylko moją bratową. Ona wie o tym. Powinienem mieć siostrę. Gdybym przyznał się Andrzejowi, wytłumaczył jak brat starszemu bratu, że czekam, kiedy Matylda urodzi bratanka? Nie uwierzy, jākając się powie: Pomyłona Anielka i ty, to jedna kompania. Anielka nie zaczepia ludzi, a ty, wariacie, napastujesz kobiety.

Chorowałem zawsze w niedzielę. Inni szli do kościoła. Do pałacu na zabawę. Do kina. Do klubu-kawiar-
ni. Ja czekałem. Wiedziałem, że wieczorem wejdzie we mnie to wariactwo, znacznie tarmosić jak jesienny wiatr okiennicami, rzucać o posadzkę, wyciskać ze mnie strugi lepkiego potu i spienionej śliny. Gdybym rozumiał, jak ono odnajduje mnie, zabarykadowałbym drzwi albo wyjechał do miasteczka między ludzi, żeby w gęstwinie nie znalazło mnie. A ono nagle wpychało się do kantorka, nic nie mówiąc chwytalo mnie za ramiona i łup-łup o posadzkę jak słomką. Uciekając, zza drzwi śmiało się, że nigdy nie przegra, bo jest chytrzejsze niż człowiek. A ja wiem, że muszę wygrać z nim, chociażbym miał dopaść je w kościele, gdzie ludzie najwięcej. Schowa się na ambonie? A może znie-
waży najświętszy sakrament? Znajdę. Wyszturekam kijem. Pogonię na cmentarz. I do ziemi. Do umarłaków. Będzie piszczalo. Drgawek dostanie, to ja jeszcze mocniej: A masz, a masz, paskudztwo! Precz ode mnie! Do ziemi!

Kiedys poprosilem Andrzeja, żeby zamknął mnie na klucz, szpary w drzwiach zatkał watą, szmatami, papierami. Wtedy wariactwo nie wejdzie do mojego kantorka.

— Wariat! — wrzasnął brat. — No, wawaariat! Głupszy niż pomyłona Aaanielka!

— Spróbuj — prosiłem prawie płacząc. — Tylko jeden raz. Tylko dziś.

— Andrzej, zrób to dla niego — błagała Matylda czepiając się ręki mojego brata a jej męża. — Jeśli ty nie chcesz, ja opatulę drzwi.

Nie pozwolił. Uderzył ją w twarz. A wieczorem przyszło do mnie wariactwo jeszcze mocniejsze. Śmiało się. Brat nie broni! I mną o posadzkę. Na kozetkę i o posadzkę. I w ściany szklarni. Śmiało się. Do rana leżałem na wyziębionej posadzce. W nocy prószył pierwszy śnieg. Była wczesna listopadowa zima.

Kocham Matyldę jak siostrę. Poproszę, pomoże mi. Jak to powiedzieć, żeby brat nie słyszał? Andrzej ma swoich płatnych donosicieli. Stara Kosowa krok w krok chodziła za mną. W nocy, kiedy wieś spała snem twardym, wypijała mleko z wymion krów Wybor-ka. To w niej wariactwo siedziało cały tydzień. W niedzielę wymykało się i wstążką ścieżki między ostami, łopianami, trzcinaми pędziło do mnie. Tak, tak. Odkąd jestem w szpitalu, ani razu nie rzuciło mną o podłogę. Kosowa nie wie, gdzie jestem teraz. Andrzej wstydy się ludzi, nikomu nie powiedział.

— Jak się czujesz, Zbychu? — słyszę ciepły, troskliwy głos Matyldy. — Co ci przywieźć? Na co masz apetyt?

— Nic mu niee trza — warczy Andrzej chodząc od drzwi do okna i z powrotem. Człap-szłap. Człap-szłap. — Żarcie maa, opieka doobra. W dodoomu musiaaałby ja wynanając niaańkę. Tu leży, tto ja mam święty spookój. Niech se choruje, wawariaat!

Przecież nie jestem chory. Tylko Kosowa wpędzała we mnie wariactwo tarmoszące. Raz w tygodniu, w niedzielę szła do Obry się wykąpać, wtedy wariactwo wymykało się z niej i pędziło do szklarni, siadało na mnie, dusiło i tarmosiło. Gdyby Kosową zamknąć

w szopie, nie pozwolić jej myć się w Obrze? Zimą, kiedy lód, mróz, starucha nie chodziła do rzeki, wariactwo też przylaziło do mnie. To może wtedy ona kąpie się w domu, w wannie albo w balii?

— Poszedłbyś do ordynatora, Andrzej — krótkotrwałą ciszę przerywa Matylda. — Zapytaj, co to za choroba. Jak długo będzie leżał?

— Całe życie!

— Tak nie można, Andrzej. To twój jedyny brat. Nie jego wina, że chory.

Matylda mówi tak tylko przy Andrzeju. Dobrze wie, że mnie nic nie boli. Epilepsja. Choroba świętego Walentego. Dopóki Kosowa będzie przychodziła do szklarni, dopóty wariactwo raz w tygodniu będzie tarosiło mną. Dawno już chciałem utopić Kosową. W niedzielę wieczorem, gdy ona kąpała się w rzece, próbowałem cicho wymknąć się z kantorka. Rozdziawiałem drzwi na oścież, a ono już czekało. I mną o posadzkę, na kozetkę, znowu o posadzkę. Potem leżałem zwiotczały, bez siły. Rano przysięgałem sobie, że za tydzień wcześniej wyjdę i na pewno utopię Kosową. Czasem cicho wślizgiwała się do mnie Matylda, ocierała pianę z drżących moich ust, twarz obmywała zimną wodą i dźwigała mnie na kozetkę. Leżałem bez ruchu, odrętwiały. Znowu nie mogłem iść nad rzekę. Nie mogłem też zdradzić się przed Matyldą. Nikt nie wie, że to ja utopię Kosową. Ułożyłem plan: w niedzielę rano położę się w trzcinach odcinających Obrę od łąk, do wieczora będę cichutko leżał. Przyturla się Kosowa, zrzuci z siebie wszystkie spódnice, po kolana wejdzie do wody, wtedy wskoczę do rzeki i na dno z nią. Nikt się nie dowie. Andrzej będzie w miasteczku. Cała wieś w kościele. A co powiem Matyldzie, gdy spyta mnie, dlaczego Kosowa nie żyje? Jej muszę się przyznać.

— Bardzo cię proszę, Andrzej, pójdz do ordynatora.

Ludzie inaczej patrzą, jeśli się z nimi rozmawia. Nie żyjemy w głuszy. Andrzej, zrób to, nie dla Zbycha, lecz dla mnie.

— E, co tu ordynator popomooże?

— Tego nie wiem, ale idź. Może są jakieś lekarstwa zagraniczne?

— Cooo, maarki na wawariata...?

— Zbych wcale nie zawinił. Kto pomoże mu? Jesteście przecież braćmi. Stać cię nawet na marki. Andrzej... tak nie można postępować. Obcy sobie pomagają. Jesteście braćmi, Andrzej... Andrzej!

Trzasnął drzwiami. Matylda znowu buch-buch-buch po kołdrze. Czesze moje włosy szorstkimi i zimnymi palcami. Rozewrzeć powieki, spojrzeć na nią i powiedzieć, że nie jestem chory, a już na pewno nie wariat. Choroba świętego Walentego. Epilepsja. Lepiej nie, Andrzej może nagle wejść. Stoi za drzwiami, pali papierosa i słucha, czy rozmawiamy.

Niedziela, upalne popołudnie. O tej porze Kosowa kąpie się, a wypoczęte, oglupiałe i bezczynne wariactwo biega wokół szklarni i szuka mnie. Po śladach kół Andrzejowego mercedesa zdyszane przybiegnie do szpitala, usłyszy mój głos i rzuci mną o podłogę, na łóżko, o podłogę. A co zrobi Matylda? Wystraszy się? Ucieknie? Zawoła ordynatora? Zwiążą mnie i skłują zastrzykami? Nie otwieram oczu, spod troszkę zsuniętych powiek obserwuję Matyldę ciągle czeszącą, tą zimną i szorstką dłonią, twarde kikuty moich włosów.

— Odezwij się, Zbychu. Nikogo nie musisz się bać. Andrzej poszedł do ordynatora. Odezwij się — prosi głosem miękkim, dobrym. — Chociaż otwórz oczy. Wiem wszystko. Udajesz. Ty wcale nie jesteś chory.

Skąd wie? Kłamie! Dlaczego kazała Andrzejowi iść do ordynatora? Może specjalnie to zrobiła, by być ze mną? Chce coś powiedzieć. Na pewno wie, że utopię

Kosową. Otworzę oczy, przyznam się, co Matylda powie? Pomoże? I pozwoli się dotknąć?

W sobotę wieczorem mama powiedziała, abyśmy w niedzielę poszli z tatą na grzyby. Nie chcieliśmy, ale mama prosiła. Nazbieraliśmy bardzo dużo, dwa pełne kosze na sieczkę. Wieczorem jedliśmy je smażone w śmietanie, słodkie, smaczne, pulchne. Tata i mama umarli jeszcze tego samego wieczoru. Gdy wróciłem ze szpitala (po jesieni, zimie i wiosnie), nikt już nie pamiętał mnie. Już Andrzej z Matyldą budowali największą szklarnię. Każdego tygodnia przybywało pawilonów. Za stodołą wyrosło wielkie ogrodnictwo. Fabryka pomidorów, w której zostałem najemnym robotnikiem, jak Żuczycha u Stacha Kopfla.

— Dopóki się nie wywyleeczysz, będziesz mieszkał z naami. Zresztą niee mó móógłbyś saam gospoodarować. Nie maasz wykszałceenia rolniczeego — stwierdził Andrzej patrząc na mnie, a Matylda tylko przytakiwała głową, wcale się nie odzywając. Ona dobrze poznała mojego brata, a jej męża. — Jeśli wywyzdrowiejesz, pomoożesz. Zapłacę doobrze, a potem... Potem się oożenisz i pópójdiesz na swooje. Ojcowizna naależy się najstarszeemu synowi.

— Nie chcę ojcowizny. Jestem geodetą. Wyjadę. Ale teraz powinienes mi pomóc. Napisz do ciotki Klary, żeby przysłała lekarstwa — prosiłem.

— Jesteś moim bratem — powiedział ciepło. — Musimy sobie popomaagać.

Stało się inaczej. Całymi dniami razem z Kosową wyrrywałem chwasty z plantacji pomidorów. Matylda też. Andrzej już rano wyjeżdżał do Zulechowa. W zielonym kapeluszu na wielkiej rudej głowie, w skórzanej kurtce trząskając drzwiami mercedesa i tyle było go widać aż do ciemka. Wracał na noc, kazał pakować pomidory do skrzynek, bo rankiem przyjadą kupcy.

— Szybciej. Szybcieej! — poganiał nas licząc skrzynki. — Traansport kokosztuje!

Kosowa pluła w dłonie i pociągała nosem. Matylda jakby się modliła, ja, przyglądając się obu kobietom zgietym w kabłaki, pytałem, kiedy piorun trzaśnie w te najnowsze w województwie szklarnie. Matylda nosiła w sobie mojego bratanka. Koniecznie chciała urodzić chłopca. Pracowałem więc za nią i za siebie. Wiedziała o tym. Przechodząc ze skrzynkami wspartymi o brzuch wbijała się dziękczynnym wzrokiem we mnie. Dziękowała za litość. Andrzej palił carmeny i liczył skrzynki. Tak mijały nie miesiące, lecz całe lata. Matylda nigdy nie została matką. Andrzej bił ją, a ja zamykałem się w kantorku, uciekałem od wariactwa i mojego jedyne go brata.

— Ooddam go do szpitaala, wywyleczą i coo? Ojcowiznę popodzielić?

— Miej litość nad Zbychem. On musi się leczyć. Jest bardzo chory. Andrzej... stać cię na płacenie za jego pobyt w szpitalu. Tyle lat pracuje za darmo.

— Za daarmoo? — spytał nienaturalnym głosem Andrzej. — Żywię, uuubieram, pieerzesz jego brubrudę. Gdzie mu bęędzie lepiej? Do faabryki wawariata nie wezmą, bo jeszcze wlezie pood maszynę. A uuu mnie w poniedziałki do popołudnia leeży se.

— Po ataku — wyjaśniła Matylda. — Po ataku musi odpocząć.

— Wariat — ucinał każdą podobną rozmowę mój brat. — Uważaj, żeby czaasem nie rzurzucił się nanaa ciebie. Wawariaat nie odpowiada za siebie.

Wszystkiego miałem dość. I żał było mi Matyldy. Wiedziałem, że wiosną wymknę się niepostrzeżenie z kantorka i na pewno utopię Kosową. Wtedy zdechnie razem z nią to wariactwo. Zakopią je za Podlą Górą, obok

Kalwina. Wcześniej wynagrodzę bratową. Kupię jej prezent. Każdy upominek powinien ucieszyć Matyldę. Jeszcze nigdy nie otrzymała nawet bukietu polnych kwiatów. Na palcach jej szorstkich, spękanych, poczerwiałych rąk znalazłem miejsce na pierścionek. Latem każdego roku Andrzej zawsze wyjeżdżał do ciotki Klary do tamtych Niemiec. Matylda zostawała w domu. Ja w kantorze.

Wiążąc sadzonki pomidorów usłyszałem:

— Dziękuj Boogu, że wziąłem cię! Przynajmniej jeesteś bogata.

— Bogata? Żyję jak wyrobnica na pańskim. A chciałam wrócić... Tu się urodziłam, tu moje miejsce. Myślałam... Wszystko twoje. Za moje pieniądze twój majątek.

— Zdechłabyś z głodu, gdybym cię niee wziął! — krzyczał rozwścieczony. — Kto bby chciał się zenić z kurwą?!

— Kurwa? Teraz kurwa? Sam wpychałeś mnie do cudzych łóżek. Mieliliśmy być najbogatsi, mieszkać spokojnie. Sam sprzedawałeś mnie marynarzom, a potem biłeś. Za mało ci płacili. Chciałeś dużo marek, funtów, złota... — łkała.

— Nawet doo kukurewstwa się niee naadajesz! W szklarni twoje zaasranee miejsce! — Chodził nadęty, zły. — Pod moim daachem kukurwa i waariat!

Postanowiłem. Nic mnie nie powstrzyma. Dam Matyldzie prezent. Długo myślałem, skąd wziąć pieniądze. Nie mógł to być prezent byle jaki, koniecznie chciałem kupić złoty pierścionek z dużym oczkiem rubinowym, żeby błyszczał z daleka. Wieczorami kulilem się na kozetce przycupniętej do szklarni i myślałem. Nie zamierzałem kraść Andrzejowi pieniędzy. Nawet nie wiedziałem, gdzie Andrzej chowa je. Od śmierci mamy i taty nie przekroczyłem progu domu rodzicielskiego.

W kantorku łamałem opłatek, modliłem się, czytałem stare gazety, niepokojąc się czekałem na niedzielne popołudnia. Na wariactwo.

Kantorek pachnący wilgocią, ciasny i zimą chłodny był moim domem od wielu lat i byłby nim dłużej, gdyby Andrzej nie przywiózł mnie związanego, spętanego jak konia, tu. I chociaż żyłem w kantorku, po nocach śniłem o pokoju tapetowanym, jasnym jak niedziela w letnie południe. Marzyłem cicho o zmianie losu Matyldy, bardzo chciałem, żeby i ona była szczęśliwa.

— Dla ciebie. — Na skrzynce po pomidorach położyłem pudełeczko. Matylda nieśmiało zajrzała do środka. Pocałowała mnie w policzek. Długo, serdecznie i dziękczynnie. Przymierzała pierścionek. Wiedziałem, że jest ohydny. Nie o takim myślałem, ale te ładniejsze były za drogie. Czekaając aż ona coś powie, nasłuchiwałem, czy idzie Andrzej. A on stał za moimi plecami. Nawet nie słyszałem jego oddechu. Żadnego wściekłego sapania. Matylda otworzywszy usta, zawiesiła dłoń w powietrzu. Znieruchomiała.

Obudziłem się. Czuję w ustach słodki smak. Krew. Moje ręce bezwładnie zwisały z kozetki, głowa ciążyła, na powiekach były glazy, a pod nimi piasek. Nade mną kiwała się Kosowa. Mglistym wzrokiem szukałem Matyldy, szorstkiego palca wciśniętego w złoty pierścionek z rubinowym oczkiem. O nic nie pytałem, ciągle przekrzywiałem głowę i szukałem pierścionka, wtedy Kosowa powiedziała:

— Wot żulik. Ty sowsiem zdurieł. Nu, zaczem prodał ty czużuju cebulu?... Padlec — zasyczała i splunęła na mnie przez resztki zębów.

— Wody — wymamrotałem, ale ona jakby nie słyszała niczego.

Kiwała się i mówiła dalej:

— Andrej kak czełowiek, chleba jemu dał, rabotu

naszoł, a on kak żulik sprzedał cebulę. Nu i szto ty kupił, ha?!!... Ja by tiebie zarezala kak sobaku. Tfu-tfu-tfu.

Nie podnoszę powiek. Nie ruszam się. Matylda bez przerwy czesze moje włosy. Może opowiedzieć jej, jakie są moje noce w szpitalu? Zazwyczaj sen przychodzi wolno, a gdy już jest we mnie, to ciężki i pełen przywidzeń, trwa krótko. Budzę się nagle z uczuciem grozy. Ogarnia mnie strach tak silny, że ciało moje pokrywa lodowaciejący pot. Wtedy myślę o śmierci. Nie, nie powiem jej tego, to jest tylko moja tajemnica. Czy Matylda ma pierścioneł na palcu? Może wyciągnąć rękę spod kołdry, sprawdzić? Co zrobi? Odtrąci mnie? Krzyknie? Zawoła ordynatora? Walczę z sobą: sprawdzić, nie ruszać się, może sprawdzić?

— A czy wiesz, Zbychu, że wczoraj był pogrzeb Kossowej? — spytała. — Ona naprawdę już nie żyje.

Czuję lekkość nóg. Nie jestem chory! Wrócę do domu!

— Wiem, że słyszysz mnie — mówi cicho, ledwie otwierając usta. — Dziękuję ci, Zbychu. Dlatego jestem tu, siedzę obok i czeszę twoje włosy, których prawie nie masz. Ty niczego nie masz. Dziękuję ci. To był mój pierwszy prawdziwy pierścioneł. Obejrzyj moje palce, już nie znajdziesz śladu po nim, ale on tam był na pewno. Dziękuję ci bardzo, Zbychu.

Co, już go nie ma? Spytać, dlaczego? Otworzę oczy, wezmę jej szorstką i zimną dłoń, pocałuję. Wyrwie? Nie. Na pewno nie. I spytam, dlaczego nie ma pierścionka?

— Andrzej sprzedał go Cyganowi. Tak, Cyganowi z Zulechowa — powtórzyła wyraźnie — za dwadzieścia tysięcy. Ty ukradłeś trzy worki cebuli, które były warte najwyżej osiem tysięcy, a on... Nie jesteś złodziejem. Zrobiłeś to dla mnie.

— Matylda — szepnąłem.

Do sali wszedł Andrzej. Nie był sam. Ordynator uderzył mnie palcem w nos i powiedział:

— Sami państwo widzicie, bardzo rzadki przypadek. Właściwie nie do wyleczenia. Zachowanie normalne, reakcja na sygnały zewnętrzne zupełnie prawidłowa, ale odbiór psychiczny w zaniku.

— Tego się nie spoodziwiałem — rzekł ze smutkiem w głosie mój starszy i jedyny brat.

— Proponuję odesłać chorego do zakładu zamkniętego. Najlepiej gdzieś daleko, żeby nie mieć z nim żadnych kontaktów. I zapomnieć. Przykro mi, że tyle musiałem państwu powiedzieć. Oczywiście wcześniej należy pozbawić go wszelkich praw. Głównie majątkowych.

— Czy Zbych jest groźny dla otoczenia? — spytała Matylda.

— Nie — odrzekł ordynator.

— Andrzej, może... — urwała. Domyślałem się, co chciała powiedzieć.

Przegraliśmy oboje. Ale ona poniosła większą klęskę. Ja jeszcze jestem wolny. Któregoś dnia ucieknę. A ona...? Wtedy znowu ukradnę trzy worki cebuli i kupię złoty pierścionek z rubinowym oczkiem. Teraz nie boję się nikogo. Przecież Kosowa już nie żyje.

— Jutro, jak już wspominałem panu Andrzejowi, przewieziemy chorego do zakładu dla psychicznie i nerwowo chorych w Ciborzu. Szpitale i ośrodki dla psychicznie chorych w naszym kraju są bezpłatne. Pobyt darmowy. Nawet do końca przydługiego życia.

— Wariatów powinno się — Andrzej podniósł oczy na sufit — o tak. Ghe-ghe!

Życie za firanką krat. W samotni. Wśród rzeczywiście chorych. Otworzyłem oczy. Matylda buch-buch po kołdrze. Nasze oczy się spotkały.

— Dziękuję, panie doktorze — Andrzej potrząsał dłonią ordynatora. — To tak, jaak się umówiliśmy. Pomidory będą w poniedziałek. A do sądu... żeby nie było kłopotów...

Ordynator wziął Andrzeja pod ramię, odeszli pod drzwi, coś szeptali.

— Zbychu — powiedziała bardzo cicho Matylda patrząc mi prosto w oczy. — Zbychu... — Pocałowała mnie w usta. Wstała i wyszła za ordynatorem i Andrzejem.

— Nie jestem wariatem!

Sarenka

Kwiatkowa zerwała się z łóżka nie o piątej, jak to w jej zwyczaju, lecz już o trzeciej. Wieś spała snem twardym, domy i zabudowania tonęły w ciemnościach pachnących otawą i dojrzewającym żytem, od strony torów kolejowych dochodziło szemranie wagonów. Kiedyś, mój Boże, kiedy to było, w niedziele i święta spała do szóstej i gdyby nie wstyd przed mężem, który w łóżku nie umiał doczekać świtania, nie wstawałaby wcale. Nic się jej wtedy nie chciało, tak była zmordowana tym codziennym, zima-lato, harowaniem, że nie myślała ani o jedzeniu, ani o picciu, tylko by spała i spała zagrzebana pod pierzyną. To i w niedziele, gdy roboty mniej, wstawała dopiero o szóstej, cicho, żeby nie zbudzić Kazika, który zawsze wydawał się jej niemowlęciem, chociaż, o tym wiedziała, z każdym dniem przybierał w sobie, mężniał, mądrzał. Cieszyła się, sama podsuwała mu łakocie, sobie odejmowała, w tajemnicy przed mężem kupowała to szynkę, to kielbasę najlepszą, to masło i wszystko kładła na stole, i prosiła, by jadł dużo. Była przekonana, że tak też trzeba. Helence także niczego nie żałowała. Z dwojga dzieci jednak bardziej kochała syna, wstydzila się do tego przyznać, bo co by mąż pomyślał o niej? Ale to najszczerza prawda.

Spieszyła się. O jedenastej odchodzi autobus, a ona jeszcze nie jest gotowa do drogi. Nie będzie się stroiła,

nie w głowie jej to, lecz skoro jedzie do miasta, do szpitala, gdzie ludzie z różnych stron i lekarze, musi się przebrać w czystą sukienkę, bo co by sąsiedzi pomysśleli o niej. Słońce przepychało się między ołowianymi chmurami niby wygaszonymi żyrandolami zawieszonymi nad wsią, przypatrywało się jej, jak w pośpiechu myje poszarzałą, zmęczoną twarz, jak przyczesuje nagle posiwiałe włosy, jak wyciera w fartuch stwardniałe, pokaleczone, pokurczone palce rąk. W kleszcze otępiełego wzroku wzięła całe podwórze: na płocie brązowiły się garnki wyszczerbione, w pokrzywach wokół studni dostrzegła kosę rdzewiejącą, jeszcze niestary, lecz już połamany kosz na sieczkę, pod gruszą rozkraczył się wóz, w garażu stał okurzony fiat i tuż obok niego też pokryty plandeką kurzu urusus. Gospodarza, gospodarza brakuje, meła myślami. Bez niego wszystko przepadnie. Czego nie rozkradną sąsiedzi, zgnije, wrośnie w ziemię, zmarnuje się. Całe moje życie przepadnie.

Idąc do kuchni przypomniała sobie, że jeszcze nie podrzuciła kurom ziarna, więc zawróciła i poczłapała do spichlerza, w fartuch wsypała kilka garści pszenicy, a gdy była w kurniku i wołała: Cip-cip-cip, maleńkie! usłyszała skamlanie Narcyza. I jemu wyniosła z kuchni pajdę zeschniętego chleba. Pies leniwie wysunął się z budy dziurawej, podniósł kosmaty pysk do góry i długo spoglądał w jej stronę, nie ruszając chleba. Naraz żał się jej zrobiło wszystkiego, bo słyszała ryczenie krów na pastwisku za ogrodem, kwiczenie świń, szuranie końskich kopyt w stajni, pianie koguta, wycie Narcyza. Wszystko żałośnie odzywało się do niej jakby prosiło, by dziś nigdzie nie jechała.

— Muszę — powiedziała sama do siebie i w pośpiechu zaczęła zrzucać dziurawe na palcach, wykrzywione gumowce. A zwierzęta jeszcze przeraźliwiej rycza-

ły, kwiczały, uderzały uzdami o puste żłoby. Ona to słyszała i zagryzała usta spierzchnięte, żeby się nie rozpląkać. — On też czeka na mnie. Syn. A dziś nie-dziela.

Cichy jakby przytępiony głos dzwonu z wieży kościelnej oznajmiał jej, że za piętnaście minut proboszcz Wyborek przebrany w ornat wejdzie na stopnie ołtarza i powie śpiewnie: *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen. Introibo ad altare Dei.* A cała wieś chóralnym śpiewem powtórzy za organistą Przytulakiem: *Ad Deum, qui laetificat iuventutem meam.* Będą wszyscy, nawet Wyborek i Knast, z wyjątkiem jej. Lubi chodzić do kościoła, wpatrywać się w świece na ołtarzu, odurzać się wonią stearyny i śpiewać. Dzwon z wieży kościelnej przypomniał Kwiatkowej, że za kwadrans odejdzie autobus w stronę Zulechowa, a ona jeszcze nie jest przygotowana do podróży. Na co nie spojrzy, wszystko czeka na dotyk jej rąk.

Przebrana w sukienkę niebieską, już trochę za obszerną, zmiętoszoną, pachnącą naftaliną, jeszcze raz w pośpiechu przyczesawszy kosmyki włosów wystających spod chustki, weszła do pokoju, gdzie w dużym drewnianym łóżku cicho leżał zarośnięty, od tygodnia nie golony, prawie bezzębny Kwiatek. Przy jego boku jak lalka spała wnuczka Haneczka. Objęła ich oczyma i wtedy poczuła, że łzy płyną po jej policzkach.

— Boże mój — westchnęła.

Kwiatek poruszył się, rozwarł oczy, spojrzał na nią obojętnie, wzrok przeniósł najpierw na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej tuż nad drzwiami, a potem na brudne okno. Chciał coś powiedzieć, lecz nie odezwał się, tylko szeroko rozdziawił usta, a ona zobaczyła bezzębne dziąsła i wystraszyła się. W Kwiatku było coraz mniej żywego człowieka.

— Osiem pieluch powinno wystarczyć — powie-

działa do niego, nieruchomo leżącego pod wielką pierzyną obleczoną w przybrudzoną poszwę. — Trzeba prać — stwierdziła. — Kiedy...?

— Musi dzwonić na sumę? — dopiero teraz odezwał się Kwiatek głosem jęklwym. — Popytaj doktora... — urwał, lecz po chwili ciągnął dalej, a głos jego łamał się jeszcze bardziej. — Jakby on był sam, to może...? I wypytaj o adwokata — dodał bojaźliwie, unosząc się na łokciach. — A marek weź. Doktorowi daj.

— Uważaj na Hanusię — przypomniła mu Kwiatkowa. — Zaraz obudzi się, to zobacz, czy nie ma moko. O, już się kręci — pokazała głową na wnuczkę, a Kwiatek wziął z krzesła, które zawsze stoi przy łóżku, pieluchę powoli i niezdarnie, trzęsącymi się rękoma, zaczął ją rozkładać. — Po co? — skarciła go.

— I długo nie siedź.

Ocienioną gęstymi lipami asfaltówką w stronę kościoła mknęły samochody, w przeciwną telepały się fury wyładowane sianem, na których siedzieli sąsiedzi skuleni i milczący jakby się obawiali, że proboszcz Wyborek, choć swój od dziecka, wywoła ich nazwiska z ambony. W gęstym od much i bąków powietrzu czuć było zapach schnącej otawy. Jaskółki, prawie dotykając brzuskami o spopieloną ziemię, przelatywały obok Kwiatkowej. Burza, pomyślała, idzie burza. A moje siano w kopkach. Zmoknie. Od końca kwietnia nie spadła ani kropla deszczu, więc czas najwyższy, by lało choćby i kilka dni. Pragnęła tego deszczu, o który jeszcze tydzień temu modliła się cała wieś, bo ziemia wyschnięta na miazę, kartofle w polu zwiędnięte, drzewa wzdłuż drogi spragnione wilgoci, ale i nie chciała deszczu. Za dwa, trzy dni od rana do rana niech pada. Żal jej tygodnia ukropnego, spędzonego w pocie na łąkach przy suszeniu otawy. Inni kończyli kośbę, zdążyli złożyć jeszcze zieleńjące siano w stogi spiczaste, zapeł-

nili nim brogi, stodoły, szopy, ona nie. Kwiatkowa ledwie skosiła trawę i przesuszyła ją w słońcu. Tyle dni na łąkach, w upale bezlitosnym, chociaż połowa czerwca, jednak słońce prażyło jak w żniwa żytnie i tyle pracy pójdzie na marne. Gdyby dziś był poniedziałek, a nie niedziela, nie jechałaby do Zulechowa, a zwoziłaby do stodoły siano. Ile by zwiozła, tyle leżałoby pod dachem i byłaby pewna, że najbliższa zima nie będzie ostatnia.

— Do Kazika jedziecie? — spytał Stefan Stock, gdy zamyślona czekała na przystanku autobusowym. Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz Kwiatkowa uprzedziła go.

— Szlag jasny by to trafił! Ot... życie — dodała po pauzie. — Może by nie jechać? — Zerknęła w tunel drogi ocienionej lipami, na końcu którego telepały się fury pełne otawy. — Stefan, poszedłbyś do szpitala? Mnie szkoda dnia... i syna szkoda. — Ręką omiotła włosy wystające spod chustki, patrzyła na niego wy-czekująco. — Siano trzeba chwycić. Stefan...?

Stock stał oparty o pień lipy i palił papierosa, nie spoglądał nawet w jej stronę, a ona bardzo chciała, by powiedział: tak albo kiwnął głową. Znowu spytała go, czy nie odwiedziłby Kazika i zawiózł mu ciastka, które piekła do późnej nocy, i poszedł do lekarza, bo Kazik na pewno już zdrowszy, a może zna adwokata, o pieniądze nie chodzi jej wcale, dobrego adwokata, dodała. Jeśli pójdzie, to niech powie komu trzeba, może temu milicjantowi, który dzień i noc siedzi przy łóżku Kazika, że zawiniła Elżbieta, ale Elżbietę Bóg pokarał najsrożej, a Kazik niewinny.

— Dajcie spokój, Kwiatkowa. Jemu nikt nie pomoże.

— Tyś uczony. Z Kazikiem chodziłeś do szkoły. Może siano... Do adwokata trzeba iść, a ja nie mam czasu. Stefan...

Przytępionym wzrokiem Kwiatkowa patrzyła przez

brudną szybę na pola gdzieniegdzie jeszcze zielone, gęsto pokropione spalenizną, na wielkie płachty łąk upstrzonych kupkami otawy, na drzewa pochyłone wzdłuż drogi, którą telepał się autobus. Wpatrywała się, lecz wcale nie myślała o burzy popędzającej autobus ani o Kwiatku przykutym nieuleczalną chorobą do łóżka, ani o wnuczce, ani o polach i łąkach wokół, myślała jedynie o Kaziku zamkniętym w pokoju szpitalnym. Niechby wrócił. Choćby nic nie miał robić, choćby był w domu. Poczula łzy w oczach, na policzkach, nie ocierała ich. Przecież miało być inaczej.

— Sarenki! — powiedziała siedząca przed nią kobieta do dziecka. — O! tam, pod samym lasem. Widzisz?

Kwiatkowa przymknęła oczy i chociaż dostrzegła stadko saren pasących się na więdnących łąkach, nie chciała patrzeć w tamtą stronę. Są wspomnienia, które wracając straszą. Lepiej więc by było, gdyby nigdy nie wracały.

Pięć czy sześć lat temu, akurat była zima i nieczęsta w tych stronach śniegowa niedziela, oboje z Kwiatkiem siedzieli w kuchni przy rozgrzanym piecu i zastanawiali się, w jaki sposób zwabić Kazika do domu rodzicielskiego. Nie pierwszy raz myśleli o tym, lecz nigdy nie mogli dojść do porozumienia. Kwiatek był porywczy; gdy ona usprawiedliwiała syna, tłumaczyła go, stary przysięgał, że nie przepuści Kazika za próg domu.

— Pojechał do kopalni? Dom rzucił i pojechał? Ja jemu dam kopalnię. Ja jemu...!

— Wróci. Rozejrzy się po świecie i wróci — broniła Kazika. Gdyby wiedziała, gdzie Kazik fedruje, u kogo mieszka, pojechałaby tam najbliższym autobusem. —

Młody i głupi. Ty...? — nie dokończyła, bo Kwiatek zaklął po swojemu, nacisnął czapkę na głowę i trzasknąwszy drzwiami wyszedł na podwórze odgarniać śnieg.

Cztery lata temu, gdy Helenka wychodziła za mąż za Stacha Palewicza, nauczyciela licealnego w Zulechowie, Kwiatkova cieszyła się nie tyle z tego udanego zamążpójścia córki, chociaż może i trochę Helenka sprawiła jej radość, że wybrała sobie Stacha za męża, cieszyła się, bo już było pewne, że Kazik, który ni z tego, ni z owego machnął ręką na kopalnię, odtrącił niezły kawałek chleba i wrócił do Bramska, zostanie na ojcowiznie. Helenka także była pracowita, zaradna, nigdy beczynnie nie leżała pod gruszą w sadzie jak jej rówieśniczki, gdy starzy złamani w pałaki zbierali kartofle lub plewili buraki, ale Kwiatkova wołała Kazika, zawsze to syn, między ludźmi mówiła: synek, u swojego najwygodniej, na starość nie będzie się czuła popychadłem, pastuchem. Gdy więc Helenka ze łzami w błękitnych oczach żegnała matkę, Kwiatkova powiedziała:

— Ojcowiznę zapiszemy Kazikowi. Tobie, Heluś, musi wystarczyć to, coś dostała. Mało dałam ci?

Helenka zamiast podziękować za pierzynę, poduszkę, tysiące złotych, uśmiechnęła się przez łzy i odjechała ze Stachem do Zulechowa. To był najszczęśliwszy dzień w życiu Kwiatkovej. Dopiero potem, gdy już było za późno, żałowała, że tak oschle rozstała się z córką. Tłumaczyła sobie, że Helenka nie byłaby dobrą gospodynią, za delikatna, nieporadna, niby potrafi wiele, jednak nie umie szczerze rozmawiać z łąkami, polami, kurami, krowami. Nie wystarczą chęci, jeśli gospodyni nie ma w sobie drygu. To cieszyła się z udanego zamążpójścia córki. No, wydała ją nie za byle kogo.

Teraz wydaje się jej, że to był na pewno ostatni dzień, gdy na jej twarzy gościł niewymuszony uśmiech, wszystko następne układało się w długie pasmo zmar-twień i kłopotów, z którymi nie umiała sobie poradzić. Wtedy, zaraz po wyjeździe Helenki, była przekonana, że Kazik nie porzuci ojca i matki, zostanie na ojcowiźnie. Stary Kwiatek też poweselał, noga mniej go bo-lała, a ostatniej zimy było już tak, że nie mógł zsunąć się z łóżka, jęczał w nocy, wzywał lekarza, kłął i ona spodziewała się najgorszego.

— Odrąbię! — wył. — Kazik! daj siekierę.

Kazik siadał przy ojcu, tłumaczył, że wiosną pojadą do dobrego doktora. Rano Kwiatek wstawał z łóżka, siadał w kuchni przy stole i pytał, jak długo będzie jeszcze cierpiał.

— Powieszę się jak Kalwin.

— Głupszyś od Zbycha — ganiła go Kwiatkowa.

— To odrąbię! O, taak! — Kładł ropicającą nogę na krzesło i pokazywał, w którym miejscu ciachnie sie-kierą. — Tylko wy nie chowajcie przede mną siekiery.

Gdy po weselu, dość cichym i skromnym, Elżbieta powiedziała do starej: mamó, Kwiatkowa rozplakała się. Co spojrzała na Elżbietę, lzy same toczyły się po jej policzkach.

— Moja Elżuniu, dziecko najdroższe, teraz będę ci jak mama. — Zerknęła na synową, starała się być miłą, ale w głowie jej krążyło pytanie o kuchnię. Wynieść się? — O, pomogę, no, przynajmniej przypilnuję wnu-ka — powiedziała głośno, a cicho i tylko do siebie: — Mój dom, mój syn. Nie będzie mi tu żadna rządziła.

— Jeśli Pan Bóg da wnuczkę? — spytał Kwiatek za-dowolony z wyboru syna. — Pierwsza musi być wnu-sia, jak u nas Helenka.

— To kiedy te chrzciny?

Elżbieta nie odpowiedziała, głowę zwiesiła nisko na

piersi, ręce złożyła jak do wieczornego pacierza, a oni ani tego, ani następnego dnia już jej nie wypytywali. Stary bacznie obserwował Elżbietę, czekał stęskniony, kiedy synowa zacznie przybierać w pasie. Kwiatkowa nie zwracała na nią uwagi. Ludzie we wsi żartowali, że lada dzień Elżbieta rozpuści sukienkę, bo to każda panna idzie do ołtarza nie tylko z kawalerem. Elżbieta ani nie wymiotowała, ani nie skarżyła się na jakikolwiek ból, po panięńsku była rumiana na twarzy, zadowolona, wesoła, chociaż czasem umykała wzrokiem z pytających ust teściów.

— Jesteś moją sarenką — powiedział Kazik któregoś niedzielnego popołudnia, gdy starzy pojechali do Helenki. Ona długo nic nie mówiła, leżała naga, pachnąca, więc Kazik powtórzył. — Sarenką? — spytała. — Sarenka, sarenka — mówił czule. — Sa-ren-ka — powtórzyła cicho Elżbieta i pulchnymi ustami przywarła do wyczekujących ust Kazika.

— Sarenka. Sarenka — tulił ją do siebie w tamtej chwili, w nocy, czasem i w stodole na sianie, i na łące za stogiem, i w sadzie wieczornym.

Od pierwszego dnia władania ojcowizną Kazik był dobrym gospodarzem, daleko mu jednak do Wyborka, Grzędy to i nie dopędzi za pięć lat, ale na polach już nie kwitły chwasty rdzewiejące, nie zielenił się perz, lecz dojrzewała pszenica, gęsta, szemrząca obfitością urodzaju, a stodoła i obora były pełne jak w latach młodego Kwiatka. Wiezorami po obrzędku zmęczony siadał w kuchni przy stole, na skrawkach gazety zapisywał to, co umyślił w ciągu dnia. Starzy doradzali, podpowiadali po swojemu, kręcili z podziwem głowami, godzili się na wszystko. Wieś, póki Kazika nosiło po świecie, jakby nie dostrzegała zrujnowanego domu i gospodarstwa, teraz zaczynała szczerze zazdrościć Kwiatkom. Bo to często słyszało się w zlewni czy skle-

pie, że u tego synowa leniuchuje, to u tego zięć pogruchotał kości teściowej albo, jak u młodszego Knasta, córka ma paznokcie wyostrzone niby zęby u wideł, w pole wychodzi dopiero po zachodzie słońca, buraki przerywa w rękawiczkach, a przy piecu w kuchni stoi tylko tyle, ile minut potrzeba na zagotowanie wody na kawę. Bodzio Palewicz, rówieśnik Kazika, który był już górnikiem, kolejarzem, listonoszem, magazynierem, referentem w gminie, machnął ręką na wygiętych w kabłąki rodziców, chociaż u Palewiczów ziemia nie taka jak u Kwiatków: tłusta, gliniasta, urodzajna, i wsiadł na traktor majątkowy. Co stary Palewicz robi w wielkim gospodarstwie bez syna? Zdałby ziemię, ale żał mu tej żyznej polaci za torami, szkoda łąk podmokłych wiosną, wypalonych latem, ogrodu, a już najbardziej grusz rodzących soczyste owoce. Bodzio w żywe oczy śmieje się ze zgarbionego ojca i mówi, że w majątku odbębni swoje godziny, nie narobi się, a pieniądze same sypią mu się do kieszeni. Byłby głupi, gdyby od świtu do zmroku wiokał na konie, martwił się o dachy przeciekające, czekał na deszcz, on nie taki; jeśli Kazik głupi, niech zaiwania. Podobno aż tyle Bodzio rzekł staremu Palewiczowi, gdy ojciec ze łzami w wypłowiałych oczach nie wiadomo, który raz namawiał go do pozostania na ojcowiznie.

Inaczej było u Kwiatków. Chociaż ziemia i budynki notarialnie przepisane na młodych, starzy harowali po dawnemu. Kwiatka noga jakby mniej bolała i już nie ropiała, a ta zagraniczna maść, którą Kazik kupił za dolary od Andrzeja, goiła skórę. Starzy pożyją jeszcze z dziesięć lat, może i dwadzieścia, młodzi dopiero zaczynają, więc niby starzy już się nie liczą, ale u Kwiatków wszyscy, przynajmniej wobec ludzi, byli równi. Co jedli młodzi, to i starzy. Kwiatkowa w plewieniu

buraków prześcigała Elżbietę. Za pługiem Kazik nie mógł nadążyć, tak Kwiatek poganiał konie.

Dom, jeszcze niedawno koślawym, omszonym dachem liżący ziemię, wyglądał jak nowy. Płot równiutko przyciętymi sztachetami kroczył wokół podwórza aż do rzeki, za którą ciągnęły się podmokłe łąki. Każdego dnia czegoś przybywało w pokojach. Młodzi spali na tapczanie szerokim i miękkim jak snopki owsianki. Starzy nie chcieli wyrzec się ciężkich łóżek. Jedli już nie w kuchni, lecz w pokoju stołowym i na porcelanowych talerzach ze ślubnego podarunku. Gdy na podwórzu najpierw zatyrkotał lśniący świeżą żółcią ur-sus, potem fiacik, wieś zazdrośnie spoglądała w stronę Kwiatków.

— Musić uskładał w kopalni? — zgadywała Wyborczycha. — Bo skąd by miał tyle grosza?

— Skąd? Skąd? — kręciła głową Kryśka, która dawniej tęsknym wzrokiem biegła za Kazikiem. — Nie wiecie, że Kwiatek dostaje paczki z tamtych Niemiec?

— Od kogój?! On musić przyjechał z Polesia?

— Akurat. Ludzie z Polesia jeszcze chodzą w łapciach. A Kazik wcale nie był w kopalni, tylko w tamtych Niemczech. Zarobił, to i ma za co kupować — stwierdziła Kryśka, a wieś się z nią zgodziła.

— Aha, to dlatego Elka wydała się za niego!

— Za jego marki — odpowiedziała Kryśka.

Kwiatkowej wydawało się, że wszystko za szybko. Już nie poznawała ani domu, ani podwórza, przywoływała kury i nie umiała policzyć ich. Zima, choć bezśnieżna, minęła niepostrzeżenie jakby wcale jej nie było. Żałowała męża obolałego, a jeszcze bardziej siebie, bo życie w okamgnieniu dodawało jej lat, odbierało siły, przygniatało do ziemi.

— Nie chciałabym teraz umierać — powiedziała do męża wygrzewającego nogę w wiosennym słońcu.

— Głupiaś jak Anielka — skarcił ją Kwiatek i splunął na ziemię jakby odpędzał czary. Ale i on niekiedy zastanawiał się, ile takich zim jeszcze spędzi w tym prawie nowym, wygodnym i ciepłym domu. — Wszyscy musimy umrzeć, jedni szybciej, inni później. Każdy chciałby najpóźniej.

— A Kalwin?

— Kalwin, Kalwin... — zbył ją uśmiechem.

Zaraz po Wielkanocy, gdy z łąk przykanalskich spłynęły wody wiosenne, do Bramska zjechali melioranci, chyba z trzydziestu chłopów wysokich, chudych, małych, grubych, barczystych. Wyborek nakazał sąsiadom przyjąć ich na pokoje, tylko do czerwca, latem mają przenieść się do barakowozów, ale po miesiącu ludzie tak się przyzwyczaili do obcych, że nikomu nie było w głowie rezygnowanie z tych dwu tysięcy złotych za łóżko, pierzynę i poduszkę. Niektórzy prowadzili meliorantów na łąki i pokazywali, gdzie mają kopać rowy szersze i głębsze, żeby trawa rosła bujniejsza. Z początku Kwiatkowie jako jedyni nie przyjęli lokatorów, lecz gdy do brygady melioranckiej dołączył inżynier, sołtys przekonał Kazika, by wyporządził pokój na poddaszu, kupił tapczan, dywan, radio, bo, jak głosiła Kryśka, inżynier to nie zwyczajny łopaciarz, a uczony wysoko. Co Kwiatkowa ugotowała swojej rodzinie, to i zjadał inżynier. Czasem w sobotę prawie wszyscy robotnicy wracali do swoich domów, gdzie żony i dzieci. Inżynier zostawał, więc Kwiatkowie zapraszali go na placek, w niedzielę na wino domowej roboty, pooglądać telewizję, porozmawiać. Inżynier był mało mówny, spokojny, nie pił za dużo. Ciasto wyśmienite, zdarzało się, że zachwalał, a Kwiatkowej wtedy chciało się śmiać, bo Elżbieta upiekła zwyczajny placek na

drożdżach czy babkę z kruszonką. Raz kiedyś powiedziała Kwiatkowi, że gdyby Helenka nie wyszła za Pałewiczowego Stacha, kto wie, czy w ich rodzinie nie pozostałby inżynier. O, wtedy cała wieś by zazdrościła.

— Mnie się zdaje, co Pan Bóg da wam córkę — Kwiatek mrugnął do Elżbiety.

— Byle nie bliźnięta — rzekł inżynier i zarumienił się jak młokos.

Kwiatkova pomyślała, że on jeszcze dziecinny. Ale coś słyszała w zlewni, że Kryśka wychodzi na łąki, zaczepia inżyniera, Żuczycha podobno widziała ich za majątkowym stogiem. Kwiatkova nie dziwiła się, zna Kryskę od dziecka.

— Jak rodzić, to pięcioraczki — rzucił bez namysłu Kazik.

— Żeby tylko szczęśliwie Ela donosiła — Kwiatkova powiedziała to z przekąsem.

— A inżynier żonaty? — zainteresował się Kazik. — U nas łatwo o pannę. Na przykład Kryśka.

— Jakoś... wie pan, ciągle poza domem... przydałaby się żona. Miałbym do kogo wracać.

Elżbieta, zmieniona na twarzy, z wielkim brzuchem, niezdarna, czasem siadała pod gruszą i w już mocnym słońcu wygrzewała obrzęknięte nogi. Kwiatek szedł za nią do sadu, siadał na dywanie trawy i pytał, czy jej nie za ciężko samej szyć koszulki, kaftaniki, becik. Jak umiał, tak przypochlebiał się synowej. Opowiadał o Kaziku, to wspomnieniami, często rwanymi, wracał do lat wojennej młodości, a już najczęściej przywoływał kolegów z wojaczki, których Elżbieta знаła. Gdyby kiedykolwiek synowa chciała przynieść wiadro wody ze studni, stary zrywał się z krzesła, wyrywał wiadro z jej rąk i kuśtykał na podwórze.

— Tobie zabronione.

— Nic jej nie będzie — wtrącała Kwiatkova.

— Ojciec poobija nogę, połowę rozleje w sieni.

— Pomalutku i doniosę — odpowiadał zatrząskując drzwiami za sobą.

Stary był przekonany, że lata udręki i choroby minęły bezpowrotnie. Mógł tak myśleć, bo we wszystkim wyręczał go Kazik. Nim ojciec pomyślał, przeanalizował, poradził się Wyborka, syn obwieszczał nowinę. A ludzie nadal zazdrosnym wzrokiem spoglądali w stronę Kwiatków. Tak ich to bogactwo kłuło, niepokoiło, złościło, że niektórzy wcale nie odzywali się ani do starych, ani do młodych.

W sobotę poprzedzającą Zielone Świątki inżynier ubrany w śmieszny mundur myśliwego spytał Kazika, czy wybierze się z nim na polowanie. I chociaż Kazik nie miał pojęcia o łowiectwie, w chłopięcym życiu nawet tyciej płotki nie wyłowił z Obry, przystał na kuszącą propozycję inżyniera. Poszli na łąki ginące w wieczornej, mglistej topieli, gdzie zatrząsienie kaczych gniazd. A gdy zadowoleni późną nocą wrócili do domu, Elżbieta już była w szpitalu zulechowskim.

— Dlaczegoście nie wołali mnie?! — pytał ojca osowiałego, zagubionego, drżącego o zdrowie synowej, ale w jakiś szczególny sposób szczęśliwego. — Sama pojechała? Toż!... Jadę — zdecydował nagle i ku zaskoczeniu matki.

— Po nocy, synku? A czym pojedziesz?

Zaklął na Bodzia Palewicza. Gdyby się spodziewał, że to jego ojcostwo nastąpi teraz, gdyby Elżbieta dała mu najmniejszy znak, nie kazałby Bodziowi wymieniać oleju w silniku fiata. I co teraz: piechotą pędzić do Zulechowa, taki szmat drogi po nocy?

— Podwiozę pana moją syrenką — zaoferował się inżynier, zupełnie zapominając o łupie myśliwskim, który pozostawił przy studni.

Od tego dnia coś zaczęło się psuć u Kwiatków. Sta-

ry coraz częściej skarżył się na rwący ból w nodze, trochę wychodził na podwórze, ale już w niczym nie mógł pomóc Kazikowi, najwyżej wieczorem, gdy siedzieli przy stole kolacyjnym, doradzał po swojemu. Syn słuchał niby uważnie, nawet przytakiwał, lecz myślami był bardzo daleko od ojca.

— O, ziemia wyżywi. Nasza ziemia dobra. A ty nie za nowoczesny? Bo to trzeba inaczej.

— Ojciec ma rację — powiedziała matka.

— Ziemię też trzeba żywić. Głodna, zaniedbana męczy się jak zgłodniały człowiek. — Kazik podniósł swoje wielkie jak dwa bochny razowca dłonie i pokazał je ojcu, tłumaczył, choć było to zbyteczne, bo Kwiatka wcale nie trzeba przekonywać. — One nie mogą pozwolić, byśmy głodowali i nie pozwolą też, by nasza ziemia się męczyła. Nie jestem Kozakiem, żebym tylko orał i siał. Ja chcę inaczej. Właśnie nowoczesnie i inaczej jak ojciec.

— Mówisz jak proboszcz — rzekł poufale inżynier.

A stary kiwnął głową na znak zgody, chwilę pomilczał i odezwał się:

— Ziemię, Kazik, musisz kochać jak swoją żonę. Czasem żona zrozumie. Ziemia to nie żona, nigdy niczego nie zrozumie. Ona wykarmi, pewnie że wykarmi, ale i ona swoje musi dostać w terminie. Jej nie oszukasz — zgodził się ojciec z myślami syna. — Co, nam źle? Tak żyć...

— Zaraz ojciec powie, że pan... jak mu tam...?

— Raczewski — podpowiedział stary. — O, pan Raczewski...

— Nie miał tyle bogactwa, ile my? — roześmiał się Kazik.

— Bo to prawda — rzekł na to zadowolony stary.

Ludzie mieli oczy szeroko otwarte jakby coś wiedzieli o Kaziku, jakby to ich odsunięcie się od Kwiat-

ków i śledzenie Kazika miało jakiś sens. Gdy czasem Kazik przyszedł do sklepu, kobiety patrzyły na niego wzrokiem współczującym, mężczyźni zaś milkli i oczyma uciekali to na półki z torbami kaszy, pudełkami makaronu, butelkami oleju wspinającymi się ku sufitowi, to na ściany liszajowate albo wszyscy naraz zapalali papierosy i udawali zajętych rozmową, którą przed chwilą przerwali, by pozdrowić Kazika. Do niego się nie odzywali. Kazik kupował butelkę piwa, siadał na pustych skrzynkach obok sąsiadów, niczego nie dowiedziawszy się, wychodził nie mówiąc nawet dobranoc. Zastanawiał się, dlaczego wieś nie lubi go i unika jak wspomnienia o Kalwinie. Zazdroszczą? Chyba tak. Stachowi Kopflowi zazdroszczą. Andrzejowi zazdroszczą. Wyborkowi... Poczekajcie, w myślach groził sąsiadom, ja jeszcze pokażę wam, ile znaczy Kwiatek. Postanowił, że pójdzie do naczelnika Gnidy, kupi dziesięć albo i dwadzieścia hektarów ziemi Palewiczowej czy Łonczynej, a gdyby w pobliżu były niczyje odłogi, to i te odłogi zaperzone, zachwaszczone, głodne weźmie. Kupi drugi traktor, większy, i wybuduje nową oborę, garaż, a zimą pojedzie z Elżbietą w góry na wczasy. Niech mu zazdroszczą, niech go wytykają palcami, niech się zastanawiają, skąd ma aż tyle pieniędzy. A Elżbiecie kupi prawdziwe futro, buty z miękkiej skóry, każe jej malować paznokcie, by na sumie wyglądała jak najbogatsza, będzie ją woził do fryzjerki, do kina, do kawiarni. I sam się wystroi jak pan Raczewski, którego on nie może pamiętać, a który podobno kolegował się z ministrami, prezydentami, wojewodami. Wtedy to już na pewno sąsiedzi potracą głowy.

— Ot, wam dobrze. Córeczka rośnie, kiedyś pomoże — przewidywał wieczorami stary. — A to będziecie uczyli ją, za doktorkę?

— Pójdzie do miasta. A jak urodzi się wnusio, Kazik jemu zapisze ziemię — powiedziała Kwiatkowa.

— Mojemu synowi zostawię takie gospodarstwo... — Kazik cmoknął zadowolony.

— Jeśli zechce być gospodarzem — dodał Kwiatek.

— To i długo nie czekajcie. Przy jednym dziecku wychowa się drugie — podpowiedziała stara.

Żyli zgodnie, przed sobą nie mieli żadnych tajemnic, otwarcie rozmawiali o przeszłym i przyszłym, układali plany, myślami odważnymi wybiegali tak daleko, że czasem stary tęsknił do młodości. Elżbieta nigdy się nie odzywała, słuchała albo i nie, wzrokiem zupełnie obojętnym jeździła po tapetowanych ścianach, przenosiła go na inżyniera. Nawet gdy Haneczka zapłakała, nie podnosiła się z fotela, jakby niczego nie słyszała. Dopiero Kazik wyrывał ją z tego nienaturalnego zobojętnienia.

— Taka ona moja, jak i twoja. Chcesz, baw!

— No, niby Ela ma rację. Ojciec też potrzebny dziecku — kwitował to stary i zaraz dodawał: — Gdzież chłop będzie zmieniał pieluchy? Jeszcze przełamie dziecko.

— Co się ojciec wtrąca! — palnęła Elżbieta.

— Elżbieta! — krzyknął Kazik.

Kwiatkowa, której krzesło stało najbliżej drzwi, wyszła do drugiego pokoju. Nie rozumiała zachowania synowej, wydawało się jej, że Elżbieta żartuje. Nigdy nie powiedziała Kazikowi, że starsza siostra Elżbiety długo leczyła się w szpitalu psychiatrycznym. Wystraszyła się, bo może i Elżbieta chora?

Po chrzcinach Haneczki Elżbieta coraz rzadziej przechodziła do tapczanu Kazika, jakby się go obawiała. Dobrze rozumiał, że kobieta ma swoje dni, toteż nigdy sam nie przymuszał jej do tego, by spała z nim. Ale każdego wieczoru długo czekał na żonę, kręcił się,

chrząkał, nie umiał zasnąć, a gdy już spał snem twar-
dym, zawsze śniła mu się Elżbieta: naga, pachnąca naj-
droższymi perfumami, które on kupował jej przy by-
le okazji, powabna, kochająca. W śnie całował jej cia-
ło od włosów po palce nóg, pieścił nigdy nienasyconą
miłością, kochał jak młokos i pytał, czy jest z nim
szczęśliwa, bo on najszczęśliwszy mając ją przy sobie.
Rano budził się zły, znowu czekał na najcichszy szmer,
choćby na poruszenie się Elżbiety, która spała za ścia-
ną. Wystarczyło otworzyć drzwi, podnieść pierzynę,
lecz on nigdy tego nie zrobił. Zły szedł do łazienki, go-
lił się, wychodził na podwórze pachnące rankiem. Od-
wracał głowę w stronę ganku, ale Elżbiety nie dostrze-
gał, jakby jej nie było tam, a była przecież, wiedział,
że obserwuje go zza firanki.

Starzy uważnie przypatrywali się młodym, o nic
jeszcze nie pytali. Kwiatek był zaniepokojony, Kwiat-
kowa wzruszała ramionami i myślała, czy mogłaby
szczerze rozmawiać z synową. A Elżbieta zmieniała się
błyskawicznie, przestała pomagać Kazikowi w gospo-
darstwie, nie dbała o siebie i nie interesowała się Ha-
neczką.

Kwiatkowa długo nie mogła zebrać w sobie odwagi,
w końcu postanowiła na osobności porozmawiać z sy-
nową. Myślała: kobieta kobietę zrozumie szybciej. Mo-
że Ela potrzebuje pomocy? Wstydzi się spytać wprost,
poskarżyć, wypłakać? Unika Kazika, bo on...? W kinie
starczej pamięci przeglądała kadry swojej młodości.
Wydawało się jej, że syn jest idealną kopią Kwiatka,
więc powinna znać całe wnętrze Kazika, ale jeszcze
nie wiedziała, czy wolno jej porównywać przebiegłego,
zaradnego, rozważnego syna z ojcem i osądzać.

— Widzę was, nic dotąd nie mówiłam — zaczęła
Kwiatkowa ogłędnie. — Elu, ty się zmieniłaś — po-
wiedziała cicho, patrząc w okno.

— Ja... — czerwieniąc się urwała Elżbieta. — Ja już go nie kocham — wyznała łamiącym się głosem. — Ja nie mogę być z nim.

— Co?!

— I nienawidzę jego dziecka. Nie chcę na nie patrzeć. Brzydzę się. Wiem, co mówię. Ja nie rozumiem siebie.

— Elu, Elu, musisz... Co powiedzą ludzie?

— Odejdę od niego.

Tego stara bała się najbardziej, może jeszcze bardziej niż spodziewanej śmierci męża. Stała nad synową milczącą, myśli jej płątały się, nie wiedziała, czy wyjść z kuchni i płakać w samotności, uderzyć ją, skrzyknąć, czy jeszcze przekonywać, tłumaczyć. Bo gdyby kiedyś, myślała nie po raz pierwszy, Kazik został sam, nie poradzi sobie. A co powiedzą ludzie? Dobrze знаła syna i wiedziała, że jest uparty jak ojciec, będzie orał i siał, kosił za czterech, zwiając się z bólu, ale nie pozwoli, by ktokolwiek litował się nad nim.

— Jesteś młoda, zastanów się — radziła dobroduszenie.

— Nie będę mu służącą — wypaliła Elżbieta. — On nie potrzebuje żony! — uderzyła w płacz. — Mogłam żyć jak inne kobiety, cieszyć się szczęściem, mogłam wyjechać... Boże, dlaczego tego nie zrobiłam? Przecież ja nigdy nie kochałam go!

Stara jeszcze coś powiedziała, bez sensu, to podnosząc głos, to milknąc lub wyjąc jak pies. Uspokoiwszy się nieco spytała, czy Elżbiecie źle z Kazikiem, dlaczego dopiero teraz, gdy Haneczka między nimi, odtrąca jej syna. Elżbieta wcale nie płakała, nie usprawiedliwiała się i nie broniła ani Kazika, ani siebie. Tępy wzrokiem patrzyła na starą. I to było najtrudniejsze do zniesienia, bo gdyby przyznała się, że ma kogoś, że

Kazik znęca się nad nią, gdyby nawet skłamała, ale ona uparcie milczała zagryzając wargi aż do białości.

— Powiesz mu prawdę? — spytała stara.

— Muszę.

— Zrozumie?

— Nie wiem.

— A dziecko?

— Dziecko? — wybuchnęła ni to śmiechem, ni płaczem. — Takie ono moje, jak i jego.

Całymi dniami Kazik był poza domem, w niedzielę samotnie wychodził w pole i przyglądał się łąnom bujnej zieleniny. O czym wtedy myślał, tego Kwiatkowa nie wiedziała. Domyślała się, słyszała, że po dawnemu wyczekuje na żonę w wieczornym łóżku, do północy przewraca się z boku na bok, chrząka, wstaje i próbuje cicho wejść do sypialni Elżbiety. Ostrożnie naciska klamkę, drzwi jednak są zamknięte na klucz. Stoi i czeka, prosi, lecz ona nie otwiera, jakby jej tam nie było.

— Jutro urodziny Elżbiety. Upoluję sarenkę — powiedział do matki zasmuconej, z ukosa patrzącej na jego twarz. — Nasz inżynier pojechał do dyrekcji, w sieni została jego fuzja.

— Jeszcze Stacho Kopfla zobaczy cię — przestrzegała, sama rada, że to może znowu połączyć go z Elżbietą. — Doniesie na milicję. Nie idź — niby prosiła, ale i ona była przekonana, że powinien upolować sarenkę.

Ściemniło się. W atramencie nieba pływały gwiazdy srebrzyste, między nimi księżyc wyszorowany aż do białości. Od strony wsi dochodziło go poszczekiwanie psów. Wokół nikogo. Wyszedł na drogę polną, rozejrzał się: w leśniczówce wciśniętej pod dach niebosiężnych sosen, u rodziców Elżbiety, we wszystkich oknach paliło się światło. Jak lis skradał się między ogrodami, drogę z lasu do wsi przebiegł pochylony przyciskając do pleców wykrwawione zwierzę, a gdy już był na po-

dwórze i poznawał maszyny ustawione wzdłuż płotu, dostrzegł przyciemnione światło w pokoju Elżbiety.

— Zrobię ci, Eluś, niespodziankę. Tej nocy na pewno będziesz moja. Moja. Jak dawniej. Kochana — powiedział sam do siebie zadowolony.

Ostrożnie wspiął się na palce nóg, sarenkę położył na parapecie, chciał zastukać w szybę, gdy spostrzegł, że Elżbieta unosi się na rękach jakby pływała. Kto u niej? Chyba ojciec? A o czym rozmawiają? Słyszał śmiechy, dwa. Jeszcze raz wspiął się na palce. W przyciemnionym świetle zobaczył Elżbietę na tapczanie, nagą, rumianą na twarzy. Siedziała w kucki jakby się modliła. Chciał zawołać, gdy usłyszał prośbny bas, nie był to głos ojca. Jeszcze raz wspiął się na palce i zobaczył inżyniera: nagusieńkiego, poprawiającego rozwichrzoną czuprynę, wyciągającego rękę do piersi Elżbiety. Wcale nie myśląc, nie ostrzegając, nie chrząkając, nie jęcząc, nie klnąc, rozbił kolbą szybę i wypalił z fuzji przed siebie. Powtórzył.

— Elżbieta. Gdzie jest Elżbieta? — spytał, gdy już leżąc na łóżku szpitalnym obudził się z zamroczenia. Nie czuł ani bandaży krępujących jego ręce, ani bólu, który musiał być w nim. — Gdzie jest moja żona?! — powtórzył krzywiąc twarz.

Milicjant odłożył gazetę, pokiwał głową, ale nic nie powiedział. Kazik znowu spytał:

— Jeszcze nie śpi? Aha, myje się. To i ja poczekam. Niech ojciec idzie do matki i nie podsłuchuje. Elżbieta jest moją żoną. Słyszał ojciec?

— Uspokój się, kolego — powiedział milicjant ze spokojem.

— Elżbieta, długo jeszcze tam będziesz?!

— Kolego, jesteście w szpitalu. Macie poszarpane ręce, wybite oko, poranioną głowę. Było w was pełno odłamków szkła — mówił milicjant spokojnie.

— Haneczka będzie lekarką. Co to mamę obchodzi?... Ziemia wyżywi... A wnuka jeszcze ojciec się doczeka. Elżbieta!... Boli mnie głowa. — Próbował się poruszyć, ale ręce miał przywiązane do poręczy łóżka, szarpał, wtedy milicjant przywołał lekarza. — Nie dam się! Niech zazdroszczą! Ja im pokażę!

— Szok — stwierdził lekarz. — Czekaj go gorsze.

Ludzie we wsi powiadali, że Elżbieta, gdy się otrząsnęła z letargu pooperacyjnego, też powiedziała: Boli mnie głowa. Czy należy wierzyć ludziom, którzy od dawna znali tajemnicę Elżbiety? Cała wieś opowiadała o żonie Kazika, obserwowała ją zza stogów, śledziła w lesie, lecz nikt nie miał odwagi powiedzieć prawdy Kazikowi. Ludzie także powiadali, w tym wypadku na pewno mają rację, że inżynier zginął na miejscu i długo leżał nagusienki, okrwawiony na tapczanie. Gdy Elżbieta dowiedziała się o tym, a dowiedzieć się musiała, bo ciągle pytała o inżyniera, postanowiła umrzeć. Ludzie zastanawiali się, czy spytała o Kazika. I niektórzy odpowiadali, że nie, ani razu nie wyszeptała imienia swego męża. Ludzie, choć nie było ich ani w szpitalu, ani nie rozmawiali z żadną pielęgniarzką, zaklinając się opowiadali, że Elżbieta w pooperacyjnym szoku przywoływała tylko imię inżyniera. Gdy się dowiedziała o jego śmierci, wyrwała z ręki kroplówkę, szarpnęła bandażę ukazując twarz oszpeconą odpryskami szkła, gorejącą. Lekarz stwierdził, że Elżbieta była w ciąży. Ludzie są pewni, że nosiła w sobie syna inżyniera.

O tym wszystkim nic nie wie Kazik, bo gdyby wiedział, nie poszedłby do lasu, nie zaglądałby przez okno. Ale czy miałoby to jakiś sens? Jeśli wierzyć Wyborczysze, Elżbieta nigdy nie pragnęła Kwiatkowego bogactwa. Podobno na Veni creator spuściła głowę i za-

miast swój dziękczynny wzrok utopić w szczęśliwej twarzy Kazika, wyszeptła: Cóż ja zrobiłam, stając przed twym, panie, ołtarzem?

Gdy Kwiatkowa wchodziła w wąskie drzwi szpitala, z nieba zachmurzonego lunęło deszczem tak nagłym i obfitym, że chorzy nie zdążyli uciec z ławek. Moje siano. Toż siano zmoknie, powiedziała w myślach. Stała i wpatrywała się w strugi deszczu zmywające z asfaltu pył. Nie wiedziała, czy najpierw iść do lekarza i pytać go o zdrowie syna, czy też prosić tego pana w białym kitlu narzuconym na mundur stalowy, by pozwolił jej porozmawiać z Kazikiem.

Pełna niepokoju weszła w ciemnawy korytarz, w portierni powiedziała, że chce odwiedzić syna, a wtedy pielęgniarka, podobna do Elżbiety, wprowadziła ją do saliki i kazała czekać.

— Pojutrze przewieziemy syna pani do zakładu zamkniętego. My, lekarze ogólni, zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Reszta należy do psychiatrów. — Mały, tęgi lekarz wziął ją pod ramię i prowadził korytarzem do izolatki.

— Czy syn będzie żył, panie doktorze? — spytała łamiącym się głosem.

— Na razie w zakładzie dla psychicznie chorych. Później, gdy ten wydłużony szok minie, gdy poczuje się lepiej, zapomni, będzie pani mogła wypisać go ze szpitala. Ale tylko na własną odpowiedzialność. I, muszę to pani powiedzieć, opiekować się nim jak dzieckiem.

— To dobrze — powiedziała niemal z pokorą i pochyliła głowę nad dłonią lekarza, a on wcale nie odtrącił jej. — To dobrze, to dobrze, panie doktorze — powtarzała.

— Jesteśmy. Proszę podejść do okienka i spojrzeć na syna.

Kazik miał wzrok skierowany w okno okratowane, usta lekko rozwarte i oślinione, twarz pożółkłą. Przeraziła się.

Podróż do piaszczystego wzgórza

— Niech będzie pochwalony.

Nikt nie odpowiada. Żuczycha już w progu łamie się w kabłąk, przyklęka i mamrocze słowa modlitwy, twarzy nie kryje w dłoniach jak Palewiczka, która klęczy pod piecem, lecz łakomym wzrokiem świdruje twarze oswiałe, niektóre zadumane, ogarnięte niepokojem, żalem czy rozpamiętywaniem. Żuczycha się modli. Stefan jest przekonany, że nie robi tego codziennie, może nie zna słów żadnej modlitwy, ale teraz kiwa się i szepcze coś. Ludzie, choć ich tłum, prawie cały Bramsk, nie odwracają głów w stronę drzwi, gdzie Żuczycha wygięta w pałąk.

W przyciemnionym, zimnym i przesiąkniętym stearyną pokoju znowu głośno. Skowyczący głos kobiecy co chwila wybucha niby jęk młockarni, odbija się o ledwie przymknięte okna, jak ćma uderza w odrapane, liszajowate ściany, skołowaciały i zniekształcony wpada do uszu Stockowej i wtenczas wcale nie słychać pieśni żalobnej.

— Uspokójcie się, Stockowa — mówi proszalnie Wyborek. — Nam nie myśleć o śmierci.

— Kto się spodziewał, że tak szybko zabraknie Stoc-ka? — zastanawia się Stacho Kopfel. — Zeszłej niedzieli wybrali my go za radnego i przyjdzie szukać nowego. Zechce kto?

— Mało to ludzi?

— Mało niemało, ale radny musi być i partyjny, i dobry gospodarz, i autochton — rzecze zięć Wyborka.

— Pierdolisz jak mój Zbych — śmieje się Andrzej. — Ty nie mó móglbyś być raadnym?

— Też byś chciał, co nie?

— Aa chciałbym, chciałbym, ale ja nie kokomunistaa.

— Cichajta, chłopcy — gasi ich Łońka. — Takiego człowieka jak był Stock u nas już nie ma.

— Za Kwiatkiem poszedł Stock. Kto następny? — pyta Palewicz, a ludzie tylko kiwają głowami i myślą, że z losem trudno się pogodzić.

Pierwszy był Rzepka, stary i zmordowany w la-grach, beznogi, po nim Żuk, Kos, Kręch, Donowas, potem długo nikogo nie odprowadzano na piaszczyste wzgórze, aż dopiero ostatnio Lesiak, brat Kosa, Wysocka, Anin i jego ojciec, Kalwin, Łukasz, Łukaszowa, Łukaszka i Kwiatek. Mogiła przy mogile, że brakuje miejsca pod lasem. Wróci kto do Bramska, pojedzie na cmentarz i widzi: same nowe mogiły, znajomi, i dźwięczy mu w uszach ich śpiewny język, i dziwi się, że mówili po swojemu, ale zrozumiale. Tyle lat, a Karpuszką nie umie wyzbyć się gwary poleszuckiej, lecz każdy rozumie ją i wie, że Karpuszką nie udaje. Albo Kosowa. Albo Sobkowiak. Z początku śmiali się, przedrzeźniali go, a teraz zapomnieli, kto skąd, nawet nie pamiętają zabaw hucznych i ani tego, że Sobkowiak śmiał się z łapci, w których Karpuszką człapała od wczesnej wiosny do pierwszych przymrozków. Umierają nagle, w polu, na sianie, za krowami, ale i chorują, i leczą się, najczęściej starzy, i zostawiają ziemię, maszyny, konie, domy, lecz nie porzucają ich, przed śmiercią proszą, by dzieci szanowały dobytek tak jak oni. Nażyli się, poznali nową ziemię, nauczyli się jej jak pacierza, nie odróżniają łąk przykanalskich od błot poleskich, od

piachów mazowieckich, od równi wielkopolskiej. Nikt nie mówi: ponemiecka ziemia, lecz: nasza, twoja, moja. Ludzie nie mówią: umarł Poleszuk, pyrak, zabugowiec, lecz: dobry człowiek, a jaki gospodarz, jaki bogaty, jaki zaradny. Zapomnieli o tamtym, teraz ta ziemia im pachnie, rodzi jak najlepsza, i ta ziemia pochłania ich, bo to już ich piasek, lasy, rzeka, drzewa, ich i ich dzieci.

Stockowa powoli, jak bezwładny worek pełen dorodnego ziarna, zsuwa się z krzesła, ale nim upadnie uderzając kolanami o twardą, wyszorowaną do białości podłogę i ucapi nieboszczyka za wyświecone kamasze, Karol zdąży chwycić ją za ramiona i całą siłą wciśnie bratową w wygniecione krzesło. Chwilę będzie trwał przejmujący spokój: ludzie pomilczą, porozglądają się po pokoju, jakby szukali zacieków na ścianach i suficie.

— Konsolacja kosztuje, oj, kosztuje grosza — przerywa ciszę Palewicz. — No, ta trza pamientać. Nie zrobisz...

— Konsolacja dla żywych — mędrkuje Wyborek.

— Ta i ono je. Dla żywych. Mnie się niekiedy zdaje, co człowiek umiera, zakopujo go, ale nie odchodzi spo między ludzi.

— Gdyby nie było śmierci, życie nie wydawałoby się nam takie ważne. Trzeba mądrze żyć, żeby nie żałować lat.

Stockowa pociąga nosem, rękę wsunęła do kieszeni grubego swetra i szuka chusteczki, nie znalazłszy jej, rękawem ociera nos, a rogiem czarnej chustki, zwisającej z jej szerokich ramion jak łopata do wsuwania chleba do pieca, osusza z łez przekrwione, obrzęknięte oczy.

— Trza mniy było zabroć do siybiy, a jygo zostawić miyndzy żywymiy. — Nikogo nie dziwią słowa

wdowy. Ludzie potakują w milczeniu. — Mówiłyś, że jo piyrso póde do ziymiy, bom starszo... Komum jo tyro potrzybno?

— Nie gadejta, Stockowa, nie gadejta. Mata syna... — Knast urwał, wzrok położył na czubkach filcaków i myśli, że odezwał się niepotrzebnie.

— Bo to Stock pierwszy? Już jemu w niebie będzie dobrze. — Wyborek czeka, czy ktoś powie, że Stocka nie zechcą w niebie, wszak był partyjny, ale nikt się nie odzywa. — Wyspowiadał się, proboszcz pokropi grób.

— W Chinach, był taki podły zwyczaj — zaczyna Knast — co zabijali wdowy, jak chłopcy umierali. Razu jednego...

— Jo niy mom... — Stockowa wybucha szlochem.

Stefanowi żal matki, jak ona by płakał, gdyby nie sąsiedzi. Wstyd dorosłemu krzyczeć bez składu i sensu, zawodzić, choć to bardzo pomaga. Ludzie współczują, ki wają w zadumie głowami, ale nikt nie wyobraża siebie na miejscu jego ojca. Nawet nikt nie myśli, że w Bramsku coraz częściej pogrzeby, częściej niż wesela, niż chrzciny. Tamci, którzy ciągnęli ze wschodu, z lasów, zza rzek nadzieję, wiarę i wytrwałość, już nie myślą o przyszłości walecznej, bo i po co? Dla nich najważniejsza jest teraźniejszość. Zgodzili się, że nadobrzański piasek nie jest cięższy niż wojłok leśny, chociaż nie rosną w nim brzozy, a tylko niebosiężne sosny i wierzby rosochate. Wokół siebie mają to, czego pragnęli zawsze, co podziwiali, co dręczyło ich i cieszyło niekiedy, nawet pałac inny, bo z czerwonym dachem. W pałacu szkoła, przedszkole i klub-kawiarnia, zabawy i wesela huczne. Całe ich życie toczy się wokół pałacu, bo i po sól, cukier, zapalki chodzą do niego, a i na zebrania, na wybory. Teraz zapomnieli o pałacu wpatrzeni w brązowe pudło zbite z dębowych dech,

jedni siedzą na krzesłach, inni oparci plecami o wyziębiony piec przykucnęli i milczą. Choćby na dworze trzaskały drzewa od mrozu, w nieboszczykowym pokoju musi być zimno. Gdyby nawet złamać ten zakaz, nie wiadomo czyj, i spróbować rozniecić ogień w tym białym, smukłym piecu, kto wie, czyby chwycił cug. Dom Stocków jest za duży, największy w Bramsku, dla dwu rodzin, a oni, odkąd są w nim, mieszkają tylko po jednej stronie w dwu pokojach, ale i tam nie każdego dnia rozpalają w piecach. Na zimę pokój po tej stronie zabijają gwoździami, dopiero przed samą Wielkanocą Katarzyna ściera kurze z zawilgoconych podłóg i wtenczas ten pokój chłodniejszy, bo od północnej strony, staje się miejscem codziennego poobiedniego odpoczynku gospodarza. Po obrządku koni lubił się położyć na przedwojennej, wytartej do gołych sprężyn kozetce, na godzinę przymknąć oczy, jemu się wydawało, że to zaledwie kilka minut, i tak odpoczywał. W chłodzie zapominał o wszystkim, nie pamiętał ani o polu, ani o koniach, lecz tylko w obiad i najwyżej przez godzinę. Nie mógł przecież zapomnieć o tym, co cieszyło go najbardziej. Konie i pole — to jego świętości, których nikt, póki żył, nie miał odwagi wydrzeć mu, a już na pewno Stefan.

— Do kolchozu? — spytał, kiedy kolektywizacja nacierała na Bramsk. — Ja? A po co?

— No, tak każą — Żuk na to i myk ogłupiałymi oczyma na ziemię.

— A kto każe?

— Kto?... Rząd. Partia. Wyście, Stock, autochton, powinniście pierwszy...

— To ja zapiszę się do tej partii, która każe. I ja powiem, że... ja przypomnę, że mnie można kazać siedzieć na dupie, iść na koniec świata, walczyć, ale mnie

nikt nie będzie rozkazywał, co powinienem robić w polu. Ono moje. Moje, wójcie!

— No... co powiedzieć, jak będą pytali?

— Zanim zaprowadzi się coś nowego, trzeba poznać stare — odpowiadał i szedł do tego pokoju, gdzie kozetka wygnieciona.

Ostatni raz stary leży w swoim pokoju, w chłodzie przenikliwym złożył żylaste ręce pokurczone bólem, nie pamięta już o polu, koniach, nawet nie zdążył napić ich zimną wodą prosto ze studni, którą sam wykopał, bo przedwojenna wyschła. Stefan myśli, że ojciec nie przykucnie w drzwiach, nie zapali papierosa i nie będzie się wpatrywał w gwiazdkę na kanciastym łbie Kasztana. Leży w swoim pokoju nie wiedząc, że obok niego siedzi matka, pierwszy raz szczerze wpatrzona w nieruchomą twarz i że wuj Karol przyjechał aż z Klemensowa spod Lublina, którego ojciec znienawidził tak, jak on jego pole, podmokłe łąki, żniwa, wykopki, spasionie konie. Stefan zastanawia się, czy ojciec patrzy na niego i śmieje się z Żuczycy, bo wie, że ona na każdym pogrzebie śpiewa najgłośniej i najobrzydliwiej, wyje jak Saba przywiązana przy budzie. Gdyby Stefan spytał ojca, jak mu jest w nowym świecie? Dokąd idzie? Do piekła? Chyba nie. Miał je tu, wysmalił się w polu, w żarze słońca, w jesiennym wietrze, wymył głowę, ręce, plecy w wiosennym deszczu. Od tego wiatru, słońca i deszczu miał na krwisto pomalowaną szyję i opuchnięte dłonie, szerokie jak dwa świeżo upieczone bochny razowego chleba, tak samo osmolone i gorące. Ojciec leży w bezruchu spoglądając w dziecięciózłotówki, którymi Stefan przykrył jego powieki, bo nie chciały się przymknąć. Stefanowi wydaje się, że ojcu niewygodnie, chciałby poprawić trocinową, obleczoną w białe płótno poduszeczkę. Ojciec nigdy nie spał długo, nie chodził w czarnym ubraniu, szkoda

było mu pieniędzy, nowy garnitur kupował rzadko i tylko najtańszy. Miał jeden czarny do kościoła i na wesela, a do urzędu, gdy czasem niósł podatki, nie przebierał się, szedł w ubraniu cajgowym i butach gumowych. Dzisiaj leży w nowym ubraniu, które syn kupił sobie, miało być na wielkie święta. Stefan myśli: Gdybyś, ojcze, na chwilę otworzył oczy i przyjrzał się sobie, i gdyby ta krepa spodobała ci się, oddam, niech garnitur będzie twój.

— Od śmierci nik nie ucieknie. Króle, jakie mądre byli, jakie bogate, wszystkie posli na tamten świat — mędrkuje, oswoiwszy się nieco z żalobnym, pachnącym stearyną pokojem, Żuczycha. — Kiedy komu ten dzień wyznacón, nie ucieknie od niego, choćby był w lesie abo jescé dali.

— Ano — Karol zgodnie kiwnął głową i szuka w kieszeniach marynarki chusteczki, by obetrzeć nos. — Ano, prawdę mówicie, Żuczycha. Ta i ono je.

— Nie pomogo żadne pieniądze. Zył u nas boogaty pan Racewski, hrabia musi, ile boogaactwa mia, tego nik nie wiedział. Musi on sam nie potrafił zliczyć majątku. I co? — Żuczycha plecie trzy po trzy, wzrok kładzie na twarzy Wyborka, przenosi go na Palewicza, na Stefana. Nie odzywają się, więc ona ciągnie dalej: — Całe boogaactwo zostawił, a co ze sobo zabrał? No?... To, w co był odzian. Ta go Niemcy dopadli.

— Miejsca śmierci się nie wybiera — głosem obojętnym mówi Karol. — Kto spodziewał się, że Marciniowi przyjdzie się umierać teraz?

— Zawsze lepiej umierać między swoimi — odpowiada Palewicz smętnie. — E, umierać...

Stockowa, wróciwszy myślami z bardzo dalekiej podróży, wysuwa się z krzesła i znowu pada na kolana aż świece zaczynają podrygiwać, a płomień przygasa.

Karol chce ją podnieść, chwytą za ramiona, lecz Żuczycha klepnawszy go w plecy, mówi:

— Dajcie jej spokój. Niechaj się pomodli. Za dwa dni i tego nie będzie miała. Potem musi się przyzwyczać, jak i ja. — Głowę odwróciła w stronę okna, a Stefanowi, który siedzi tuż przy niej, coś twardego zatyka gardło. Odchrząka. — Mój umar, będzie chyba ze dwadzieścia lat, i jakoś, Bogu dzięki, żyje. Casem — spogląda na Karola — zabawa jaka mi we łbie.

— Przestańcie brechać! — karci ją Wyborek, pokazując ręką na drzwi. — Na drogę idźcie se pogadać.

— Z kim, sołtysie? — Żuczycha lekceważąco macha zwiędniętą ręką, poprawia spadającą na pomarszczone czoło kraciastą, pełną czerwieni, błękitu i gdzieniegdzie czerni chustę.

— Ludzie przyszli powspominać Stocka, a wy ino o zabawie. Pójdziecie na zabawę, zamiast się cieszyć, gadacie o pogrzebach.

— Jakby mój umar po lu... a to zabili go — przypomina Żuczycha patrząc Wyborkowi w oczy. — A kto? I za co?

— Takie były czasy — twierdzi Palewicz nie bez dania racji. — Bo to tylko Żuka...? A nie powiesili starego Kosa za to, że chorągiew biało-czerwoną postawił na dachu? Nie podpalili Krycha i Donowasa? Nie straszyli mnie?

— Kto? — zaciekawia się zięć Wyborka.

— Kto? Kto? — Palewicz na to ze złością w głosie. — Jakby wiedzieli, kto... A to jednego zabili w polu, drugiego powiesili w stodole, trzeciego podpalili w nocy.

— Żuk był wójtem, ale co mieli do Donowasa? — nie ustępuje Stacho Maciejak. — Teść pamięta? — pyta Wyborka, który ani się odezwie.

— Musieli mieć na niego oko — rzecze Grzęda. — Mnie też napisali na płocie farbą olejną, co mam rzucić gospodarke i wyjechać z Bramska. A dokąd, jak moje po ruskiej stronie? Szczęście od Boga, co miał ja ostrego psa.

— Gadali po wsi, Kalwin, co to banda. — Palewicz rozgląda się, ale nikt nie potwierdza jego przypuszczenia. — Niemcy. Kto tam jego zna? U nas dużo... tych... no...

— Autochtonów — sylabizując podpowiada Stacho.

— Jedne autochtony, a co niektóre to i czyste Szwa-by. O, nie dostają listów z tamtych Niemiec? A nie przyjeżdżają...?

— Kalwin sam się powiesił? — pyta Łońka. — Był Niemiec — odpowiada sama sobie. — Myślicie, że ksiądz Rabiega nie wiedział o tym? A wy go jeszcze jak jakiego pana na cmentarz. Ja mówiła, trza było słuchać. Taki dobry proboszcz i wywieźli.

— Było, to było, teraz spokój — twierdzi Wyborek.

— Taki spokój. O, co rusz piszą listy. Wczora Stacho Kopfla dostał.

— Popiszą, popiszą i przestaną.

— Ale mojego zabili — wtrąca Żuczycha.

— Teść pamięta Ungera? On musi miał gospodarke tam, gdzie teraz Kwiatkowa?

— Uciekł, zaraz jak się spalił Donowas — przypomina sobie Palewicz. — On by...?

— A Unger...? Teść znał go? Podobno napisał do Kwiatkowej, że wraca?

Wyborek zbył zięcia machnięciem ręki, skulił się i nic nie odrzekł. I inni zamknęli się w sobie. Było słychać tylko skwierczenie świec.

Stockowa wtopiła głowę w przekrzywione, kościste ramiona, niby nadwierzona zimową zawieją stara jabłoń pochyliła się do przodu i rozpląszyła wyschnięte

dłonie na twarzy poblakłej, zmęczonej całonocnym czuwaniem przy nieboszczyku. Siedzi osowiała, przygnębiona i tłumaczy męża przed sobą, prosi o przetrzymanie go w poczekalni nieboszczyków, bo i ona niedługo podaży za nim. Chciałaby już teraz rozmawiać z mężem, jak rozmawiała z nim do przedwczoraj, gotować, wstawać wcześniej, bo nie potrafi żyć tylko dla siebie.

— Jedni umierają, inni się rodzą — przerywa ciszę Żuczucha.

— Donowaski Mańka ma bliźniaki.

— Które to? — zaciekawia się Lońka.

— Pierse były trojaki, potem bliźniaki i teraz znowu dwoje.

— A Wala jałowa.

— Nie Wala, ino musi Józik — odzywa się Wyborczycha i czeka, kto ją poprze. — Józik winny, bez wódkę to. — Zmierzyła Stefana wzrokiem, a on zrozumiał, że jego także ma na myśli.

Zrobiło się późno, słysząc ujadanie niekaśliwych psów, nawet Saba zawyla przeraźliwie, wyśpiewując smutną arię w psim chórze.

— Idźcie do domu — Grzęda trąca Cynajkę w bok.

— Ni-ni... Aa... późno to?

Stockowa, raz jeszcze zebrawszy siły, próbuje podnieść się z krzesła, palcami wczepia się w trumnę, ciągnie ją do siebie, aż do przechyłu nieboszczyka.

— Wywalisz! — Karol zrywa się z ławki, lecz Wyborek chwytą go za marynarkę i każe usiąść.

— Nic to. Nic, Karol.

A Stockowa coraz mocniej ciągnie brązowe pudło, całuje czubki kamaszy, wbija palce w nogawki spodni męża. Stefanowi szkoda matki nie dlatego, że zostanie sama, ale że nie potrafi zrezygnować i tak z przegra-

nej walki o przyzwyczajenie do męża. Bo jemu co? Pogodził się, rozumie.

„Dobry Jezu, a nasz Panie...” Wyborek w pojedynkę ciągnie tę pieśń, która i ze Stefana wyciska dwie strużki łez. Choć Stefan jest twardy, zawzięty jak ojciec, najtrudniejsze umie znieść mężnie, w tej chwili musi sobie ulżyć; rozcapierzoną dłoń kładzie na twarzy. Najgorzej wszystek ból zbierać w sobie, ugniatać zmartwienie jak niedopałek, którym można tylko sparzyć palce. Pociąga nosem, przez łyzy w oczach widzi wuja Karola kułakiem ocierającego lepkie policzki. Wyborek nie kończy, przypomina sobie jeszcze coś, to już nie pieśń żałobna, a wspomnienie lat żołnierskich, wracanie na pola miedziane, na łąki pocięte kanalikami, między drzewa gibkie i wonne jak ziemia. Mówi:

— Szkoda Stocka. Dobry był chłop z niego. Ludzki.

Dobry, tylko tyle? pyta Stefan siebie. A dlaczego miałyby być złe, nieludzkie? Pierwszy w Bramsku woził zboże dla magazynu geesowskiego, z nikim się nie kłócił, ustępował nawet wówczas, gdy racja była tylko po jego stronie. Wolał słuchać i milczeć, nauczony powojennej uległości nisko się kłaniał proboszczowi, sekretarzowi i naczelnikowi gminy.

Umarłeś, tułów twój zlodowaciał, ręce znieruchomiały, nogi wyprostowały się, ale chyba słyszysz głosy sąsiadów, rozumiesz ich, a nie możesz się odezwać? Żyjesz inaczej, w odwrotną stronę, reagujesz jeszcze na śmiech, kpinę, wspomnienie. Póki kości twoje nie staną się prochem, będziesz żył. A czym oddychasz? Nic cię nie boli, nic nie drażni, nie złości? Jak to jest? O, żebyś mógł tylko na moment otworzyć oczy, odezwać się, powiedzieć matce, że jesteś obecny, będziesz zawsze pośród nas niewidoczny. To niemożliwe, by człowiek nagle stał się kamieniem. Kamień nie żyje? Tłumaczyłeś mi, że kamienie rosną. Jeśli rosną, to muszą żyć.

Musiały odczuwać ból, gdy kaleczyłeś je pługiem. Nieboszczyk jest kamieniem, więc żyje po swojemu. My, oddychający powietrzem, nie umiemy wyobrazić sobie innego świata, ale on musi być. Ojczu, prosi w myślach Stefan, chciałbym poznać tę niedostępną dla nikogo prawdę. Wtedy nie bałbym się nawet śmierci wiśliczej. Powiadają, że to dwie, trzy minuty i cisza błoga. Nicość. Jeśli płód w łonie matki bawi się palcami, ssie, oddycha, to człowiek po śmierci nie może nagle stać się martwą bryłą. Martwy jest dla żywych, ale nie dla siebie.

— Kalwin, jak się powiesił, pamiętacie? Miał powyręcane ręce — przypomina zięć Wyborka. — Chyba męczył się strasznie.

— Diabeł go skusił — wtrąca Lońka. — Anioł bronił, a diabeł kusił.

— Gupiaś jak Anielka — karci ją Żuczycha.

— Jesce rok, dwa... — Sobkowiak urywa, patrzy na Wyborka, na zamysłonego Grzędę, na Karola — i nas Panbóg se wyźmie. Bo to niy wydoć, kuego ciungniy do ziymiy?

— A Srogaż ma ze sto lat.

— Sto dwa — poprawia Wyborka Sobkowiak.

— Pęczaczka też ze dziewięćdziesiąt. Pochowała dwu chłopów, syna, córkę, zięcia. Jak żyje, nie była ani u felczera, ani w szpitalu.

— Stocka to co rusz zabierało pogotowie — przypomina Lońka.

Stefan myśli: leżysz, ojczu, w skrzyni dębowej i patrzysz w dziesięciozłotówki ciężkie jak twoje buty oblepione jesienną gliną w wiokaniu na konie za pługiem. Na pewno szkoda ci matki i mnie żal ci, chociaż odziedziczyłem po tobie niewiele, jedynie nazwisko. Za daleko odszedłem od ciebie. Zawsze tłumaczyłeś, że po-

winieniem miłować konie, zrywał się w środku głębokiej nocy, bo zdawało ci się, że rzą nie napojone. A one rżały do ciebie, do twoich rąk szorstkich, spracowanych, wielkich, czule gładzących je po spasionych, lśniących grzbietach. O! ty nigdy nie poganiałeś koni batem, nawet wówczas, gdy chmury ołowiane nisko spacerowały nad kopkami zboża, cmokałeś, wiśtałeś jakbyś się bał, że ochwacisz je.

— Człowiek powinien umrzeć tam, gdzie się urodził — powiedział Stock do Stefana.

— To znaczy Sobkowiak pod Szamotułami, Palewicz za Bugiem, ty tu?

— I ty. I twój syn. I twojego syna syn.

Wyborek wciska na oszronioną głowę garnek baraniej czapy, Stefan już wie, że za chwilę wszyscy się podniosą z krzeseł i oni zostaną sami. Sąsiedzi wyjdą w ciemność mroźnej nocy i zaraz za płotem zapomną o Stocku, ułożą się wygodnie w łózkach pod puchowymi pierzynami, będą mówili przez sen, klócili się z urzędnikami, wiśtali, jobkali, smarkali, pierdzieli. Rano, nim słońce wytoczy się zza rzeki, wstaną, by rozmawiać z końmi, głaskać po łbach łaszące się psy, karmić kury. Stock też zrywał się wcześniej, już o czwartej kaszlał, pluł, swoje ciężkie kroki kierował do stajni, jakby się bał o konie.

Leży Stock w ogródku świec i nie wie, że Żuczycha całkiem umilkła, zmęczona całodziennym dreptaniem po wsi i podwórzu śpi oparta o ramię Łońki. Sobkowiak drzemie. Cynajka ziewa. Karol przeciera oczy.

— Połóżcie się — Wyborek pochyła się nad Stockową — trzeba trochę odpocząć. Rozpamiętywaniem sąsiadka niczego nie zmieni. — Wstając z krzesła dodaje: — No, ludzie, komu w drogę...

— ...temu czas — kończy Grzęda i pierwszy się zrywa, ale inni jeszcze siedzą pokuleni.

Nierdzewiejące dziesięciozłotówki przygniotły Stoc-kowi niebieskie jak polne chabry, lekko wypłowiałe oczy. Dawniej i on zasypiał na rozkolebanym wozie, przystawał pod dębem albo opierał się plecami o pień wierzby, wszędzie oczy mu się zamykały. Pojutrze Stefan zdejmie dziesięciozłotówki, zbyteczne już takim jak jego martwy ojciec, chociaż stary całe życie ciulał pie-niądze, każdą złotówkę długo ogrzewał w dłoniach, oglądał, ważył nim kupił paczkę papierosów. A Stefan inaczej — szastał pieniędzmi na lewo i prawo, śmiał się z ojca, że dusigrosz, sknerus.

W przysadzistym, wepchniętym za drzwiami piecu kuchennym jeszcze tli się polano, twarde toto, więc ogień szybko nie zgaśnie, lecz i ono się zwęgli, zmiesza z popiołem i nikt nie rozpozna, którego drzewa stano-wiło część. Tak jest z wszystkim na ziemi. Najtward-sze, nierdzewne, niezniszczalne latami stanie się tylko popiołem, który należy rozrzucić po polach, łąkach, le-sie i zapomnieć o nim. Czy tak też jest z ludźmi? za-stanawia się Stefan. Ilu bramszczan ma znaczzone mogiły? Ilu nigdy nie znalazło drogi powrotnej do swojej wsi i ani śladu po nich? Gdzie grób dziadka? „Poległ w obronie wielkiej Rzeszy” — przeczytał kiedyś i spy-tał ojca, czy dziadek był Niemcem.

— Niemcem? Co ty? Nie był Niemcem, urodził się w Bramsku, a że służył w niemieckim wojsku...? Mu-siał.

— Dlaczego? — Stefan nie zrozumiał.

— Jakby nie poszedł do wojska dobrowolnie... Wielu zaciągnęli siłą, a jak który uciekał, to go łapali i pod ścianę albo do obozu. Musiał, chciał żyć, wrócić, chciał...

— Walczył przeciw Polakom?

— Zginął w Rosji.

— Ale czy był przeciw Polakom?

Ojciec nie odpowiedział, zbył Stefana wzruszeniem ramion.

— Mama się położy — mówi ciepło Stefan.

— Na tamtym świącie byde se uedpoczywela. — Od wczoraj Stefan słyszy to samo. Wyrывая się synowi Stockowa wrzeszczy: — Puszczaj mnie! Jo do Marciyna, na troszyczke. Puszczaj!

— Durna ty?! — Karol krzyknął tak głośno i niezdarne, że papieros wypadł mu z fiki na podłogę. — O żywych trza myśleć! Masz syna, synową, to proś Boga o wnuki! I żyj dla nich!

Katarzyna obciąga sukienkę, a Stefan niechętnie na dłużej zatrzymuje wzrok na płaskim brzuchu żony.

Stock nie doczekał się wnuka. Tyle razy pytał, kiedy zostanie dziadkiem, że Katarzyna pojechała aż do Zulechowa szukać pomocy. Stary chciał opowiadać mu bajki, sadzać go na kościstych kolanach, jak niegdyś tulił Stefana, i gładzić go po białawej łepetynce, bo to miał być jego pierwszy wnuk, podobny do syna i dziadka. Koniecznie chciał mieć wnuka, także Marci-na, żeby Stockowie zawsze byli tu, by jego nazwisko długo wymawiano w Bramsku. Teraz w myślach płaczących się Stefan obiecuje: jeśli urodzi się chłopiec, zostanie Marcinem Stefanem. Jeśli dziewczynka...? Łypnął oczyma na Katarzynę.

— Wy tu, ja tam — mówi Karol.

Stefan nie słucha, zastanawia się: dlaczego to zrobiłem? Zbytecznie, bom wcale nie był sentymentalny. Nigdy niczego nie obiecywałem ojcu, na złość byłem przeciwny jego wizjom śmiałym i niecodziennym, byłem arogancki, kpiłem, gdy kreślił plany zaborcze, uciekałem z domu, nie myśląc ani o nim, ani o matce, ani o Katarzynie. A teraz obiecuję mu? Dlaczego wtedy nie było we mnie tej siły?

— Tknęło mnie. Siedzimy z moją w kuchni, jak te-

raz u was, naraz ja słysze pukanie do drzwi. Wołam: proszę! Nikt nie wchodzi. To ja jeszcze raz, głośniej: proooszę! Wychodze ja do sieni, u nas sienie małe, nikogo nie widać. Zaglądam pod schody, ide na ganek, no, nikogo. Moja mówi, że sie chyba przesłyszał. Jak mogłem sie przesłyszeć, kiedy i ona słyszała pukanie. Moja w płacz: źle, Karol, z naszymi dziećmi. Oj, musi co się tam zdarzyło? Głupia ty! Ale i mnie... Tadzik w wojsku, Mania jeszcze jesienio pojechała na Śląsk, zięć robi za górnika, o! dobrze zarabia. Czterdzieści tysięcy miesiąc w miesiąc, a i po boku drugie tyle. Moja blada jak ściana, ręce załamuje, robota wcale jej nie idzie. I mnie też nieswojo. Pukanie do drzwi dobrze my słyszeli. Jakby ktoś rzucił kamieniem w komin. U nas komin wysoki na dwa metry. — Karol dopiero teraz przypala zmietoszonego papierosa, a Stefan myśli, że powinien odwiedzić wuja i zobaczyć ten inaczej zbudowany dom. — Nic, tylko coś się stało z dziećmi. Inne myśli nie przychodzi do głowy. Co robić? Od rana łąze ja po podwórku jak zamroczony. Poczekamy do nocy, mówie do mojej, nie przyniesie listonoszka telegramu, znaczy, że my sie przesłyszeli. I w te chwile pies szczeka na pocztowe. Telegram, job twoja mać!

Stockowa zziębniętymi paluchami rozmazuje lzy po pociętych drobnymi, fioletowymi kreskami policzkach, pociąga nosem, próbuje wstać z krzesła, chce iść do zimnego pokoju.

— Niech mama siedzi! — krzyczy Stefan.

— Uen tam...

— Ty nie wydziwiał — karci ją Karol.

W niewielkiej, ciasnawej kuchni jest ich czworo, a Stefanowi się wydaje, że za dużo miejsca. Wuj siedzi na krześle ojca, tak samo założył nogę na nogę, pochylił się nad stołem i zaciąga się dymem papieroso-

wym. Katarzyna spięła dłonie na brzuchu i patrzy na Stefana, a on przykucnął w progu, obserwuje matkę.

— Teść pamiętał o wujku. Chciał sam powiadomić o odejściu w zaświaty. — Katarzyna dodaje z lękiem w głosie: — Coś niewytłumaczalnego musi być. Taki szmat drogi, to będzie z sześćset kilometrów, teść trafił do wujka.

— Za życia nie miał czasu, po śmierci mnie odwiedził.

Stefan ugrzązł w zamyśleniu, rozważa, próbuje kojarzyć wczorajszy dzień z tym, co mówi wuj. Nie wierzy w życie pozagrobowe, ale i nie śmieje się z wuja.

— Takiy był dobry, takiy mundry.

— Nie nam sądzić zmarłych — mówi Karol.

— Uen mnie złygo słowa niy powiydziół.

Stefan zastanawia się, czy ojciec zdmuchnął płomień świec, by nie raziły go w wyblakłe oczy. Sąsiedzi wyszli, więc dla kogo mają się palić? W Bramsku zawsze tak było, tak jest i dzisiaj, będzie w przyszłości; wszystko, co Stockowie wyprawiali: wesele Katarzyny i jego, pomłockowe kolacje, srebrne wesele rodziców było nie dla nich, lecz dla sąsiadów, by podziwiali, zazdrościli, wychwalali w sklepie, zlewni, na zebraniach, na ławkach przed niedzielnymi domami, w kościele. To samo u Wyborków. Nie inaczej u obu Knastów.

— Ostatniej niedzieli stoję tu — Katarzyna pokazuje ręką wytartą do białości blachę, na której okruchy drewna — gotuję obiad. Teściowa obiera kartofle, a teść siedzi tam, gdzie teraz wujek i słucha Wolnej Europy. Na dworze sypie gęsty śnieg, mróz zamarłszy, ale w kuchni ciepłutko jak w polu we żniwa. Mówię wujkowi, tak wesoło, że śmiać się chce z tej radości. Naraz coś brzdękło, nie za głośno, aleśmy słyszeli wyraźnie. Teściowa zamarła ze strachu, błada, mną

wstrząsnęło. Nasłuchujemy. A to szklana popielniczka rozleciała się jakby ktoś nożem przeciął ją na pół, równiutko. Teściowa w płacz. Teść na to: wielkie nieszczęście. Pękła ze starości. Przedwojenna, to i pękła.

— Na niygo pynkło! — Stockowa przerywa Katarzynie. — Na niygo, mojego Marciyna! Tyla lat my byliy zy sobo, aniy razu siy niy posprzyczoliy, niy pokłóciyliy, złygo słowa na siybie niy powiydziyliy.

Stefan jest przekonany, że matka nie wiedziała o wszystkim. Już dawno było zaznaczone, kto umrze pierwszy. Ojciec śmiał się z długiego palca u nogi, czasem żartował w obecności Stefana:

— Pokaż nogę. Taka sama jak moja. Widzisz, matka ma ten drugi palec, trochę dłuższy. Co to oznacza? — Stefan nie rozumiał, patrzył pytająco na ojca. Stary wyjaśniał: — Ano tyle, że matka zostanie wdową. Ty też pierwszy pójdziesz do ziemi. Nie mów o tym Kasi. Po co ją dręczyć?

Zgadza się, wszystko się zgadza jak w najlepiej ułożonym planie: popielniczka, pukanie do drzwi wuja, kura, która wskakiwała na dyszel wozu i piała kogucim głosem. Stefan nigdy nie myślał o śmierci. Jeśli szedł w kondukcje pogrzebowym, śpiewał, to z przyzwyczajenia i nakazu ojca. Dopiero teraz wie, że śmierć jest najstraszniejsza dla żywych.

Niemo wpatrują się w siebie nie mając odwagi zdjąć z nóg ciężkich butów, wstać z krzeseł, położyć się do łóżek i pozwolić ciałom, by odpoczywały po niezwykle paskudnym dniu. Sen przechodzi obok nich, boi się wejść do kuchni, jeszcze czeka za drzwiami jakby się wstydził przerwać rozmyślania Stefana. Ktoś musi zaprosić go i razem ze Stockową zaprowadzić do pokoju, bo zapomniała, co ludzkie.

— Mama będzie spała z Kasią w swoim łóżku — mó-

wi Stefan głosem zdecydowanym. — Wuj pójdzie ze mną na górę.

— Niee — prosi Katarzyna. Stefan nie rozumie. — Wszyscy zostaniemy w pokoju. Obaj z wujkiem kładźcie się na łóżku ojca. Zaraz zmienię pościel.

— Dopóki nieboszczyk w domu, nie godzi się spać w nie wystygniętym łóżku — protestuje Karol, uprzednio karcąco spojrzawszy na Katarzynę. — O, my ze Stefkiem możemy podrzemać w kuchni na krzesłach. Przy piecu ciepło.

Stockowa nie słyszy niczego; wpatrzona w okopcone garnki jest w kuchni, lecz myślami pomieszanymi tkwi gdzieś bardzo daleko. Może znowu rozmawia z mężem o jutrzejszym rannym wstawaniu i prosi go, by wydoił krowy, bo ona chce pospać dłużej? Kiedy indziej zamienia się. Zapomniała, że to prośba zbyteczna. Stock nigdy nie wylegiwał się w łóżku, nawet wówczas, gdy spóźnione słońce oblizywało pomalowane mrozem szyby. Ciemno jeszcze, a on czyścił grzbiety końskie, rąbał kłocę akacjowe, w śniegu wycinał kanały, nosił wodę do kuchni. W szpitalu, gdy już było pewne, że nadchodzi to jego zegnanie się ze światem, mówił: zmarzłaś, oj zmarzłaś. Pielęgniarka, która z przyzwyczajenia słuchała go, powiedziała: niech się pan wyrzeknie ziemi. Po powrocie do domu musi pan dużo odpoczywać. On na to półsennie: ziemi się wyrzec? Ko nie sprzedać? To tak jakbym się wyparł ojca i matki.

Stefan myśli: ojciec leży w czekoladowym pudle i nie wie, że niedługo zaczną szczekać ranne psy. Kiedy nad śniegową równiną pól i łąk będzie podskakiwała piłka słońca, ojciec się nie poruszy. To takie nienormalne.

— Dobrze — decyduje nagle — wszyscy śpimy na górze.

Stockowa sprzeciwia się, ma swoje wygniecione miej-

sce obok cienia męża, na pulchnym i skrzypiącym łóżku, w którym urodził się Stefan.

— Chociaż zmienię pościel — mówi Katarzyna i wychodzi z kuchni do pokoju.

— Niyczygo niy ruszej! — buntuje się Stockowa. — Piylnuj swygo nosa! Jako jo dla ciybiy matko?!

— Ty nie krzycz na synowe — mówi Karol.

Stock był inny. Już pierwszego dnia, gdy usiedli przy stole, polubił Katarzynę, a kiedy zamieszkała w jego domu i zawołała: tata! Tata przyjdzie na obiad. Tata obmyje ręce — uśmiechał się dumnie. Katarzyna radziła, jak powinien się ubrać do Zulechowa, jak na zebranie w gminie, co powiedzieć Kalwinowi, gdy będzie przechodził obok plebanii, co naczelnikowi, co sekretarzowi. A Stockowa spode łba patrzyła na synową, lecz ani w sklepie, ani w zlewni nie oskarżała jej. Sąsiadki różnie mówiły o swoich synowych, najczęściej: flejtuch, powitrułycia, gangrena, leniwa, darmożjad, ona nic, jakby Katarzyny nie było w jej domu.

Nastał czas dzielenia kuchni, stara buntowała się:

— Za młodam, żyby wnuki niończyć! Pókiy ruszom giyramiy, jo byde gotowela uejcu i Styfkowiy.

Stock zamknął drzwi kuchenne i długo tłumaczył jej. Stefan z Katarzyną podsłuchiwali:

— Kasia gotuje dla Stefana, ty dla mnie. Tak najlepiej. Będą większe pieniądze, wyremontuje się pokój po tamtej stronie, bo oni powinni mieszkać osobno. Potem, kiedy nacieszą się sobą, sami zechcą być z nami. Czy nie pamiętasz naszej młodości? Inni byliśmy?

— Co uena umiy? — sprzeciwiała się stara, a Stock już nie odpowiadał, tylko kiwał głową uśmiechając się do siebie. — Czyrniyne ugotuje?

Na stole tyka mały budzik, w ciemności Stefan nie dostrzega wolniutko przesuwających się wskazówek. Chciałby bardzo, aby już świtało. Podniósł firankę: za

oknem gęsta ciemność. Katarzyna, wcisnąwszy głowę w poduszkę, cicho popłakuje. Stefanowi robi się żal żony i szkoda mu mamroczącej matki. Czy teraz, gdy nie ma pomiędzy nimi ojca, nie poróżnią się? On jeden między dwiema kobietami, najbliższymi mu osobami, każdą kocha inaczej, ale przecież kocha.

Katarzyna myśli: teść został pośród kikutów świec. W szafie leżą prezenty, które kładłam mu pod choinkę, by się cieszył. Teść jeszcze nie odszedł, nie zostawił mnie, ale pojutrze wszystko się zmieni. To tak trudno zrozumieć. Gdyby krzyczał na mnie, wyzywał, kłął, pluł, bił, nie myślałabym o nim, jak się myśli o żywych. Odejdzie i pozostaną ślady jego obecności, z każdym dniem coraz mniej, aż kiedyś śnieg zasypie je, deszcz splucze, wiatr zwieje. Katarzyna nie może zasnąć, przewraca się z boku na bok, na wznak, pochlipuje. Stefan bierze dłoń żony w swoje ręce i ściska ją aż do bólu, którego Katarzyna nie czuje. Gładzi żonę po brzuchu, chciałby dotknąć uchem to miejsce i usłyszeć głos może miesięcznego Marcina Stefana Stocka. Karol też nie śpi, przewraca się na wznak, ręce zakłada pod głowę.

— Co będzie z matką?

— Niech się wujek nie martwi. Kiedyś, za rok, dwa zapomni. Najsmutniejsze są pierwsze dni — odpowiada Stefan i zastanawia się, czy ma rację.

— Jeszcze niestara — głośno i bez żenady w głosie rozważa Karol. — Mogłaby... Co w parze, to nie w pojedynkę.

Stock niczego już nie usłyszy, jest tak daleko, że żadne słowo nie dopędzi go. Niby żartując, ale to nie były żarty, lecz jego życzenie, mówił do żony:

— Wyjdiesz za męża, za Kopfla albo Kalwina.

— Guupek. Jak bzykowaty Zbycho.

— Gnidzina umrze, to za Gnidę — dodał wesoło,

jakby i to miało być jego życzeniem. — Żona naczelnika, ho, ho!

— Guupiyś — ona znowu.

— Stefan już nie jest dzieckiem. Z każdym dniem będzie się oddalał od ciebie.

— A ty? — pyta Karol. — No, ty...?

— Co, wuju, ja?

— Wydałbyś matkę za męża?

Stefan myśli: ojciec leży w bezruchu i nie słyszy nas, nawet nie wie, że przyjechał wuj Karol. Obejrzał Bramsk, przypomniał sobie sąsiadów, powspominał młodość. Ciotka Klara zapomniała o ojcu. Ona zawsze szybko zapomina o wszystkim, co nie było po jej myśli.

Za oknem jeszcze gęsta ciemność, budzik wydzwania siódmą. Nie patrząc na siebie wszyscy szukają w nieładzie porozrzucanych ubrań, milczą jakby się bali, że zbudzą Stocka. Ale Stockowa leży nieruchomo na pierzynie, dopiero teraz Stefan dostrzegł, że matka nie zdjęła butów z nóg. Założywszy ręce na brzuchu, jak do porannej modlitwy, otepiała spogląda w sufit.

— Mamo...

— Byłysz uejca?

— Idę. Muszę zgasić światło. Zapalę gromnice. Wieczorem zdmuchnąłem je.

— Po co? Żałujesz uejcu? — pyta głosem drętwiejącym. — Duebry był, za duebry dla ciybie. — Po jej skroniach toczą się grochy łez, a Stefan akurat teraz chciałby dotknąć matczynych rąk, patrzy na wuja i boi się zrobić jakikolwiek ruch.

— Przy ludziach, jak wieczorem przyjdą na wspominki, znowu zapalę gromnice.

— Kawał dryania z ciybie.

Stefanowe dziesięciozłotówki przygniotły ojcu oczy, spod nich Stock nie widzi ani sufitu popękanego, ani świec zgaszonych, leży nieruchomo, wygolony i wy-

myty mydłem pachnącym. Stefan sam żyletką ogolił ojcu brodę, szukał brzytwy, ale gdzieś się zapodziała. I sam naciągnął na niego nowe kalesony, od Katarzyny, które położyła mu pod choinkę. I jeszcze pokremował jego twarz, przyglądził srebrzyste włosy, wydrapał piasek zza paznokci. Robiąc to myślał, że ojciec powinien pachnieć perfumami, kremem, mydłem i wyglądać jak żywy.

Patrzy i dziwi się, bo ojciec odchodzi ze złotą obrączką na palcu, która zawsze leżała w pudełku z pieniędzmi. W dłoniach trzyma książeczkę do nabożeństwa, a nigdy nie był w kościele. Leży w czarnym ubraniu z nową czapką na kolanie. Stefan myśli, że to wszystko jest zbyteczne, ale jakby wyglądało, gdyby jego ojciec odchodził nie ogolony, w cajgowych spodniach, bez książeczki w dłoniach? Nie chodził do kościoła, ale też nie wyśmiewał się z księży. A że należał do partii...? Wyborek także partyjny. I Stacho Kopfel. I Gni-da. I co niedziela stają przed ołtarzem, przyjmują księdza po kolędzie, składali się na budowę plebanii. Zresztą ta książeczka, której ojciec nie czytał nigdy, musi być wetknięta w dłonie nieboszczyka. Ksiądz, gdyby się dowiedział, że Stock chciał być pochowany po partyjnemu, pozwoliliby wykopać dół na cmentarzu? Ludzie by się śmiali, że nie było pogrzebu. Pogrzeb w Bramsku to krzyż, chorągwie łopocące na wietrze, ksiądz w czarnym ornacie, śpiewy i sąsiedzi tłumnie drepzczący za trumną, wspominający zmarłego, proszący o spokój jego duszy, a potem msza żałobna za trzy tysiące złotych. Tak są chowani wszyscy: wisielcy, dzieci, babcie, partyjni, autochtoni, piracy, zabugowcy. W Bramsku, Przymokli, Chłopimoście. Może inaczej w Zulechowie.

— Wuj głodny? — przerywa odrętwiałą ciszę Stefan.

— Komu dziś chce się jeść? Zgłodnieje, to weźme se kawałek chleba. Na razie mnie to nie w głowie. Pamiętaj o matce — przypomina Karol, pogładziwszy się po nie ogolonej brodzie. — Brzytwy nie masz?

— Może żyletką...?

— Nie, nie, ja tylko brzytwo.

Stefan czerpie wodę ze studni i nosi ją w wiadrach do koni, one jak na złość piją i piją. Stefan mówi sam do siebie:

— Jeszcze dwa i powinno być dość.

Gdzie tam! Napełniwszy wiadra wodą dźwiga je przez podwórze, jak ojciec przechyla się na boki, obija sobie nogi, klnie, bo zmoczone nogawki spodni sztywnieją na mrozie. Potem rzuca za drabinki obrzemek siana pachnącego łąkami i jak ojciec przykucnąwszy w drzwiach stajni wpatruje się w końskie łby.

— Zastąpię wam gospodarza. Muszę. Teraz to już na pewno.

— Gdzie wuj? — pyta Katarzyna, a on, zaskoczony, zrywa się na równe nogi i patrzy na żonę, i domyśla się, że słyszała jego słowa.

— U ojca. Dokąd by poszedł? — Stefan nie pamięta, w którym roku wuj wyjechał z Bramska. Wydaje mu się, że Karola nigdy tu nie było. — Mama jeszcze nie wstała? Śpi? Niech sobie odpoczywa.

Przez szparę między deskami obserwuje Katarzynę wybierającą w drewnutni suche szczapy na podpałkę. Katarzyna układa je na rękę wysoko, Stefan widzi tylko czubek głowy żony, w drugą rękę Katarzyna bierze stare wiadro na pomyje dla świń. Katarzyna od wczoraj nie zmieniła się, a Stefan już jest inny: poi konie, karmi je, czuje się gospodarzem. A tydzień temu...?

Przypomniała mu się tamta Katarzyna przechodząca obok niego z wypiekami na twarzy, długo oglądająca się, czekająca na najcichsze słowo, jeszcze nie jego, ale

już wówczas naznaczona i wybrana. Stefan często podglądał Katarzynę, specjalnie wieczorem wymykał się z domu do szopy, by z ukrycia widzieć, co się dzieje u Knastów na podwórzu, patrzeć, jak Katarzyna się rozbiera, ogląda piersi, myje plecy, napina mięśnie ud. Na wprost szopy była letnia kuchnia, niby łaźnia, do której drzwi się nie domykały. Zawsze w sobotę przed nadejściem nocy była w niej Katarzyna. On przyczajony czekał w szopie. I wtenczas myślał, kiedy będzie mógł do woli patrzeć na nią, obejmować, całować. W zamyśleniu kichał albo stękał, a wylękniona Katarzyna narzucała na siebie ręcznik, po chwili niepokoju wiedziała, że to Stefan i znowu wchodziła do wanny i odwracała się w stronę szopy, a on widział wszystko i jeszcze bardziej pragnął być przy niej.

Gdyby Stock dostrzegł Katarzynę na podwórzu przyciskającą do piersi obrzemek szczap, nie pozwoliłby jej dźwigać.

— Jeszcze się napracujesz, Kasiu. Życie dopiero przed tobą.

— To takie lekkie.

— Nie ma kto przynieść drewna?

Kazałby żonie gotować dla siebie, dla syna, dla Katarzyny. Dopiero przed świętami pytał ją, jaki wymyśliła placek. Lubił Katarzynę jak córkę. Stefanowi nigdy nie kupił tylu drewnianych koników, świnek, motylków, ile jej pierścionków, łańcuszków, kolczyków, tylko złotych, ładnych, bardzo drogich.

— Ciesz się, póki mam za co kupować.

— Na co iy? — wtrącała się do rozmowy Stockowa.

— Nie trzeba mi złota, tata — odpowiadała Katarzyna i gubiła wzrok dziękczynny.

— Przyjdzie czas, że ja będę potrzebował twojej pomocy. Na wdzięczność trzeba sobie zasłużyć.

Może dlatego Katarzyna zawsze pamiętała o urodzi-

nach teścia, pod choinkę jak dziecku kładła prezenty, a on cieszył się i ze łzami w blaknących oczach przyjmował je i tulił Katarzynę jak najukochańszą córkę. Stockowa naburmuszona patrzyła z boku, wyduszała z siebie: dziyńkuje i odkładała prezent na stół albo pytała: po co ty to kupiła? Niy mosz na co piynindzów wydoć? Dopiero potem oglądała go, lecz nigdy w obecności synowej.

— Stefan! mama znowu zapala gromnice — woła Katarzyna z ganku. — Zrób coś, bo ona podpali się!

Stockowa trzyma kurczowo nieboszczyka za nogi. Głowę przycisnęła do trumny i całym ciałem przywarła do dębowych desek, że ani jej oderwać.

— Niech mama uważa! — już w drzwiach krzyczy Stefan. — Kasiu, przynieś ciepłą chustę. Przezięb się mama i co wtedy zrobimy? Pogrzeb po pogrzebie? — mówi i żałuje tego, ale matka niczego nie usłyszała, nawet nie podniosła oczu na niego.

— Lepiej matki nie ruszać — doradza wuj Karol, zapalając papierosa. — Poczęstujesz się?

— Przy nieboszczyku?

— Eee, ee — stęka wuj i obojętnie macha ręką — jemu nic już nie zaszkodzi.

Czas w pokoju jakby zamarł. Stockowa nie odchodzi od zwłok męża; czasem na krótką chwilę wytoczy się za stodołę do wychodka, ale szybko, jakby się bała, że nie zastanie już Stocka, wraca do wyziębionego pokoju, siada na krześle, wbija wzrok w nieruchomego męża, kiwa głową.

Karol Stock przyjechał sam. Dawno nie był w Bramsku, nie wie, że Kalwin się powiesił, Stacho Kopfel wrócił na ojcowiznę, nie słyszał o Jawdosi. I wujenka Maria zapomniała, ale ona nie zna tu nikogo, obca. Od czasu, gdy Stock rozjuszony wrzasnął, że jego noga nie przestąpi progę, w którym mieszkają Karolowie,

Stockowie żyją w osamotnieniu, bez żadnych gości przy świątecznych stołach. Zaczęło się od tego, kto bogatszy. Stefan słyszał, że wuj Karol hoduje więcej świń i ma urodzajniejszą ziemię, nie piaski międzyleśne, nie łąki podmokłe, tylko pola gliniaste, buraczane, pszenne. Stock przechwalał się końmi, bo to wielkie i silne zwierzaki, jakich w Bramsku już niewiele. Wuj dawno przebudował stajnię na chlewnię, po polach telepie się w zieloniutkim ursusie kupionym za dolary. A Stock nawet nie chciał słyszeć o przesiadce na traktor. Zawsze miał dużo czasu, żeby napoić konie, wyczyścić je codziennie, porozmawiać z Katarzyną, zbić ule, naprawić dach, wrota stodoły, narąbać drewna na całą zimę. Ojciec patrzył w telewizor, jak Stefan, jak niektórzy sąsiedzi, nie umiał siedzieć beczynn timer, zaraz zasypiał.

— Rzucisz fabrykę? — pyta wuj.

— Bo ja wiem, może... — odpowiada niezdecydowany, przekrzywiając głowę.

— A u mnie taka gospodarka, tyle bogactwa i nie ma następcy. Póki ja... potem trzeba będzie sprzedać albo oddać państwu.

Stefanowi przypomniła się rozmowa z ojcem.

— Wykieruję cię na doktora i już. Nie chcesz ziemi, to będziesz doktorem. To też dobre. Zawsze na swoim.

— Styfek? — spytała zaskoczona matka.

— Stefan — potwierdził ojciec. — Nasz Stefan — dodał dumnie.

Tak miało być, mógł zostać lekarzem, pierwszym z Bramska, bo jeszcze nikt nie doszedł dalej niż do posady nauczycielskiej w Zulechowie. Stało się inaczej, przez Kwiatkową, jej zazdrość, wścibstwo i długi język. Opowiedziała w sklepie to wszystko, co widziała, a widziała Stefana z Katarzyną w sercu łozinek. Choć to już tyle lat, pamięta, jak doszło do spodziewanego

i oczekiwanego spotkania. Szedł po krowy pasące się na przykanalskim pastwisku. Dlaczego była tam Katarzyna, nie wie i nie ma odwagi spytać jej. Próbował, zaczynał i urywał. Ale dobrze pamięta, że tak było. Nie został lekarzem, jest robotnikiem fabrycznym, nie chodzi dostojnie w białym kitlu, lecz w zasmolonym kombinie jak Stacho Palewicz, jak zięć Wyborka. Potem już nigdy ojciec nie wypominał mu tego, choć Stefan czytał w jego oczach, że zawiódł starego. I tak zostało: ojciec na gospodarstwie, syn w fabryce. Któręś niedzieli po obiedzie stary zagadnął:

— Wrócisz, Stefek?

Syn milczał. Nie wiedział, jakiej odpowiedzi spodziewa się ojciec. Nie chciał robić mu przykrości. Bo nie wróci na ojcowiznę. Źle mu w fabryce? Gdyby jeszcze urlopy miał jak należy, a to żniwa, podawanie snopów na wóz, młocka, orka, siewy. Ale od tego, póki mieszka w Bramsku, nie ma ucieczki.

— Co Zośka — wuj poprawia się szybko — co matka sama robi? W pole z końmi nie wyjdzie. Bez chłopca nie poradzi sobie. Czas najwyższy, żeby i ona zasmakowała innego chleba. Widzisz, jeździsz po świecie, to pewnie widzisz, że można żyć inaczej.

Im dłużej wuj tłumaczy, tym Stefan mniej uważnie słucha go. Stoi przy ojcu i spogląda na wielkie dłonie poredlone jak kartoflisko, nie chronione przed mrozami, szare. Stock nigdy nie chuchał w zmarznięte ręce, nie chował ich do kieszeni, zima czy lato zawsze te dłonie obmywało powietrze.

— A jakby wuj postąpił, gdyby był na moim miejscu? — pyta nieśmiało.

— Ja? Co ja bym...? — Wuj długo się zastanawia, przetyka ślinę, wyciera nos, błądzi oczyma po ścianach. — Masz swoje lata. Nie mogę ci doradzać, bo... Zrobisz tak, jak uważasz.

— Zostać? Chyba trzeba będzie zostać.

— Pójde do kuchni przekąsić — rzecze wuj.

Bez żadnego celu Stefan wałęsa się po podwórzu zasypanym śniegiem. Zagląda do koni, liczy świnię, siada na pniaku w drewnutni, sam nie wie, czego szuka. Zostać na ojcowiznie? Nie zostać? zastanawia się. Za stołową drzemie nowa szopa, pełna zeszłorocznej słomy. Świeżo wbite w ziemię pale wystawiły się do zimowego słońca, gdzieniegdzie dachówki błyszczą spod śniegu. Zwyczajny dzień, lecz zupełnie inny, jakby wycięty tępymi nożycami z kalendarza.

— Zostanę — mówi sam do siebie. — Ojciec nigdy nie prosił mnie o to, ale ja zostanę. Muszę. — Podniósł głowę: stała przed nim Katarzyna.

— Muszę zaraz po pogrzebie jechać do lekarza.

— Choraś?

— Boję się.

— Czego?

— Jeśli chcemy mieć dziecko... — urywa krzywiąc usta z bólu.

Ma to być ich drugie. Pierwszego nie widzieli. Felczer stwierdził, że winna była Katarzyna, nie uważała na siebie, pracowała za ciężko. Stock, gdy o tym usłyszał, nie powiedział ani słowa. Zmierzył Stefana, a dopiero na drugi dzień, wieczorem, rzekł:

— Co by to było, gdyby wszyscy żyli. Nie poszczęściło się dzisiaj, poszczęści się kiedy indziej. Pamiętaj o jednym: musisz dać mu moje imię Marcin.

— Starsi odchodzą nagle — filozofował Stefan — przychodzą często w ogóle nie chciani albo długo oczekiwani najmłodsi. Niby ludzi ubywa, a jednak coraz więcej nowych płaczków, jęków, śmiechów.

— Wnuk... ho, ho! wnuk — stary uśmiechnął się do syna — i dziadek zawsze się dogadają.

To nie narodzone dziecko podprowadziło Stefana

i Katarzynę do ołtarza. Gdyby nie wymuszony ślub, czy Stefan nie byłby już lekarzem, jak pragnął ojciec? Może inżynierem? A tak zostanie w Bramsku. Sam nie wie, dlaczego wówczas w łozinkach wieczornych położył się przy Katarzynie, nie nie mówiła, wcale się nie broniła, nawet rozpięła bluzkę i spódnicę. Aha! wcześniej spytała, czy się ożeni z nią. Nie powiedziała tego wprost, ale Stefan tak to zrozumiał.

— Na pewno. Z tobą. Bobby z kim? — odrzekł zapominając o marzeniu ojca.

Ożenił się z Katarzyną jeszcze tamtej jesieni, nie żałuje niczego, choć niełatwo było mu powiedzieć:

— Muszę się żenić. Z Katarzyną.

— To dobrze — rzekł ojciec i spytał, czy Katarzyna wie, za kogo się wydaje.

Nie rozumiał, więc ojciec powtórzył:

— Nie będziesz doktorem. Ona wie o tym?

— Uen? Styfek? — wybuchnęła płaczem matka.

— Też dobrze. Przepiszę mu ziemię, pokażę, jak gospodarzyć. Czy wszyscy muszą być wyuczeni? Więcej korzyści z uczciwego chłopca niż z przymuszonego lekarza.

Stefan stoi nieruchomo i zastanawia się, dlaczego nie podchodzi do ciotki Klary i nie przypatruje się jej twarzy, nie sprawdza, do kogo jest podobna. Czy także oczy ma niebieskie, płowiejące? Teraz nie widzi oczu ojca, przysłonił je dziesięciozłotówkami, ale dobrze zapamiętał ich błękitny, blaknący kolor. Jest pewien, że ciotka musi mieć oczy chabrowe.

— Dej znać Klarze — nakazała matka, gdy szykował się na pocztę, by nadać telegram do wuja Karola.

— Nie pamiętam jej adresu. Mamo, dokąd posłać? — spytał bezradny.

— Uejciyc by wiedzioł. — Stockowa załamawszy

ręce siedziała przy Katarzynie i zbłąkanym wzrokiem obejmowała chustki przybierające żałobny kolor.

— Gdzieś koło Szczecina — przypomniła sobie Katarzyna.

Klara klęczy na lodowatej podłodze. Stefan myśli, że mógłby podsunąć pod jej kolana starą poduszkę albo wytarty koc. Marznij, nie pamiętałaś o ojcu, wyrzekłaś się brata, bo się bogacił, ciebie nie błagał o pomoc, w listach donosił ci, że ma dwa konie, dużo krów, sprzedaje świnię i że urodził mu się syn, podobny do niego. A ty czekałaś, kiedy zacznie błagać cię o zlitowanie. Myślałaś, że ukłęknie, jak teraz klęczysz przed nim, i będzie skamlał, narzekał na swój los wycinany ciężkimi rękami w piaszczystej ziemi, bo ożenił się z pyraczką. Ojciec jadł postne kartofle, popijał je wodą prosto ze studni, którą sam wykopał za stodołą, bo stara, przedwojenna, wyryta pośrodku podwórza, wyschła.

Klara nie podnosi głowy, chociaż wie, że Stefan stoi przy niej. Poznaje go, podobny do Stocka, ma niebieskie oczy, wysuniętą brodę i zadarty nos.

— Wujek, Klara przyjechała — mówi bez entuzjazmu w głosie.

— To dobrze, synku.

— Ciotka Klara! — krzyczy. — Twoja siostra!

— Klara? — pyta Karol, szeroko otwierając usta, a papieros wypada mu na podłogę.

Gdyby Stock usłyszał imię swojej siostry, spytałby, czy czegoś potrzebuje. Może nie, może by kazał prowadzić ją do stołu, do pokoju wyziębionego? Dopiero w spokoju pytałby o zdrowie jej, szwagra i ich dzieci. A ona: mam tyle krów, tyle koni, tyle świń. Ile pieniędzy! Dobrze mi, tak dobrze, że nie wiem, co robić z bogactwem. A ty, Martin? Ja? Ja... nie narzekam, choć było mi ciężko. Spłaciłem długi, dałem ci posag,

wywianowałem cię jak ojciec, sobie zabrałem, tobie dałem, żebyś nie narzekała, nie mówiła nigdy, że jestem bogaty, bo dostałem ojcowiznę.

Późne popołudnie, na dworze już gęsta szarówka, zaraz zaczęły się schodzić sąsiedzi. Jak wczoraj będą wspominali Stocka i przewlekłymi głosami prosili o spokój jego duszy.

Klara wstała z klęczek, wyjąwszy z torby czarną chustkę zamaszystym ruchem rąk zarzuca ją na głowę. Wuj milczy. Stefan też i zastanawia się, czy ojciec wie, że przyjechała Klara.

— Jak do tego doszło? — Klara siada obok Karola i mówi jednym tchem wszystko, co ułożyła w pociągu. — Młody, taki młody, ileż miał lat? Najmłodszy z nas trojga. Pierwszy odszedł. Jezuniu najśladniejszy, czemuś mi go zabrał? Na co umarł?

— Na nic — odpowiada Stefan zły na ciotkę.

— Stefek? — Klara bierze jego głowę w wielkie dłonie i przyciska ją do swojej piersi. — Biedny sierotka. Moje dziecko.

Stefan czuje wstręt do ciotki, nie wie, czy już się wyswobodzić z obrzydliwego uścisku, czy poczekać, aż Klara sama go wypuści i pozwoli mu odejść.

— Jakiś wyrósł. Większyś od mojego Rysia. Czemuś go jeszcze nie odwiedził? On tak tęskni do ciebie, Stefuś. A wiesz, że będzie doktorem? W Szczecinie. Kupiłam mu willę. I auto. Za marki. Sześć tysięcy.

Już chciał powiedzieć, że jej Rysio nie tylko zapomniał o nim, lecz nawet nie przysłał zaproszenia na swój ślub, nie odpowiedział na jego list. Niby się znają, a jednak nic nie wiedzą o sobie. Dzieli ich zaledwie dwieście kilometrów. I to jest straszne. Kuzyni, a tak obcy sobie.

— Zdrowiście? Zosia?

— W kuchni. Kasiu, zawołaj mamę.

— A to kto? — Klara wzrokiem pytającym obejmuje Katarzynę, mierzy ją od głowy po nogi.

— Moja żona — odpowiada cicho Stefan jakby się bał, że urazi ciotkę, która nic nie wie o jego przymusowym ożenku. Zapraszał ją na wesele, ale nie napisał prawdy.

— Żonatys? — dziwi się Klara. — Aha, pisałśes. Dawnoś ożenion? Ona od kogo? Bogata?

— Zza płotu.

— Knastów?! Aleś se...

Karol wstał z krzesła, ręką otarł nos, przelknął ślinę, odchrząknął i mówi:

— Mój też ożeniony.

— Poproś, Kasiu, mamę.

— Knastów? Toś nie szukał daleko. Martin pozwolił?

Stefan czuje, że za chwilę krzyknie na ciotkę, zwymsła ją. Broni się. Myśli: jaka wielka szkoda, że pomiędzy żywymi nie ma już ojca. On by jej odpowiedział. Tyle razy pytał, czy kiedykolwiek spotka się z Klarą.

— Na pewno przyjedzie. Zechce zobaczyć grób babki. Przywiezie kwiaty — odrzekł wtedy Stefan, lecz bez przekonania. — Doczeka się ojciec.

— Chciałbym zobaczyć Klarę. Wyrzekła się mnie, cmentarza, ale niechby kiedyś przyjechała tu. Byłe nie na mój pogrzeb. Do Karola nie mam nic, tylko... Klara wyrzekła się mnie, bom partyjny. Nie chciałem jej pomocy. Do Karola też nie pisze. A co, ona po lepszej matce?

— Dlaczego ojciec nie lubi jej?

— Ona wie... Napisałem list, zaprosiłem, nawet nie odpowiedziała. — Tyle zapamiętał Stefan. Jaki list, tego się nie dowiedział. Chciał spytać, lecz nie miał odwagi.

Im bliżej chwili ostatniego pożegnania, tym Stefan głębiej myśli o ojcu. Ciotka spytała, dlaczego umarł. Czy chorował? Gdzie! Kiedy ojciec miał czas na wylegiwanie się w łóżku? Tyle roboty w polu, gospodarstwo największe w Bramsku, chyba i w gminie, a ojciec zawsze pierwszy. I o nim w gazecie, w radiu, posłali go nawet na dożynki centralne. Wrócił z krzyżem zasługi, lecz długo nie cieszył się nim. Powiesił go nad łóżkiem, by co wieczór przypominał mu, że jest najlepszy w gminie. Inne medale przechowywał w skrzynce z pieniędzmi, raz w roku przypinał je do marynarki i dźwięcząc szedł razem z sąsiadami na akademię gminną. Klął na naczelnika, lecz nigdy w biurze, nie na drodze, nie w obecności sąsiadów, tylko w domu. Na zebraniach zawsze był cichy i spokojny, opanowany, a nawet flegmatyczny.

„Dobry Jezu, a nasz Panie...” przerwało rozmyślanie Stefana. Przeraził się. Ojciec odchodzi, jego zostawia na ziemi. A czy on potrafi zastąpić ojca w polu, domu, na podwórzu?

— Wszystko macie przygotowane do pogrzebu? — pyta Grzęda. — Trza w czymś pomóc? Bo jakby...? Konsolację...

— Dziękujemy za opiekę — odzywa się Karol. — Stefek załatwił. Jeszcze jutro rano pójdzie do proboszcza.

— Mój Kazio czeka — chwali się Wyborek. — Nie chciał, ałem go namówił.

Pójdę i powiem, że ojciec nie chodził do kościoła z wyboru. Nie wierzył w Boga, którego ludzie nie widzieli, ale był przyzwyczajony do Boga, wychował się razem z bóstwem, którym od dziecka była mu ziemia piaszczysta.

— Ta to je na tym świecie: jedno sie rodzo, inne

umirajo. O, u mojego Stacha druga dziewczucha. Chciał chłopaka, Pambóg dał dziewczuche.

— Byle zdrowa — rzecze Wyborczycha.

— Co chłopak, to chłopak. Ojcu pomoże. I je komu ziemie zapisać — twierdzi Knast. — Stock ma syna... A jakby dziewczuche?

Żuczycha pochyliwszy się nad uchem Kwiatkowej szepcze jej coś do ucha i jednocześnie ostrym wzrokiem mierzy Klarę jakby już nie pamiętała jej. Kobiety, przesunawszy krzesła w stronę wyźbionego pieca, zwierają się w ciasną czeredę, razem cieplej. Nie zważając ani na czarne opaski opinające rękawy Karola i Stefana, ani na chustki żałobne na głowach Stockowej, Katarzyny i Klary, wracają świeżą pamięcią do niedzielnego wesela.

— Mówita: bez szluby? Co na to ojce? — pyta Palewiczka nieco podniecona.

— Ja by taki za próg nie przepuściła — zaperza się Grzędzicha. — Wydarłaby ze łba wszystkie kudły.

— Tera, baby, insze czasy. Zieńć partyjny, na stanowisku — wyjaśnia Łońka. — Niechaj se żyjo, byle w zgodzie.

— Jaki on zieńć? Toż obcy. I bez szluby. Tylko życie dziewczusze zmarnował. A co, nie było dla niej lepszego? Kośława ona abo bidna? Kozaczycha se nalazła... I to jaki postawny.

— Od oka mogli wzionść ślub. W Przymoklach proboszcz da po cichu. Co to, nie przyjeżdżają aż z Zulechowa? Samam widziała taksówki pod kościołem.

— Za piniondze...

— Cicho, kobity! — odzywa się Wyborek. — Na drogę idźcie se pogadać! Nieboszczyk w trumnie, a im zebrało się na wesele.

„Dobry Jezu, a nasz Panie...” Nagły śpiew wywołuje Stockową z głębszego zamyślenia. Zrywa się i pochy-

lona całuje kamasze, obejmuje Stocka na nogi, ciągnie go do siebie, przekrzykuje chóralne zawodzenie sąsiadów. Twarz jej robi się gęsta od granatowiejących żyłek. Chusta spadła na plecy. Lamentuje:

— Jezuniu najśłodszy, za coś mnij tak pokarol? Com ja tobiy zawiyniylaa?

Tylko Klara milcząc wodzi oczyma po twarzach moczujących się z sennością. Sądzi, że wszyscy współczują jej, zaraz będą wypytawali, jak u niej, czy bogata, ile ma krów, dlaczego przyjechała sama. Czeka na pytania, układa odpowiedzi, liczy dobytek, żeby pamięcią długo nie błądzić po oborach. Ale nikt nie odzywa się do niej, jakby sąsiedzi już jej nie pamiętali. Ona jeszcze ma nadzieję, chrząka, przypomina się, wzrok kładzie na Żuczysze, przenosi go na Palewiczkę, zatrzymuje się na Wyborku. Nikt nie dostrzega jej.

— Pochwalony — rzecze Knast starszy i jakby nigdy nie siada przy Wyborku.

Stefan ujrzawszy Knasta myśli: ojczcie, on siedzi koło Wyborka. Zostanie najlepszym gospodarzem, prześcignie Kopfla, Palewicza, Andrzeja, pojedzie na dożynki, gdy wróci, w sklepie albo w zlewni pochwali się krzyżem zasługi. Może kupi traktor, będzie orał twoje pole, które zostawiłeś nie wskazując następcy, bo ja jestem przypisany do fabryki. To rzucić robotę, zastąpić cię, nie pozwolić, by Knast był najlepszy?

Miałeś, ojczcie, wiarę, duszę i boga! Ale religią było ci słońce, wonne soki ziemi naszej i przezroczysta woda. To słońce nad lasem sosnowym, te soki wyciskane z ziemi piaszczystej stąpaniem za pługiem. Byłeś wolnomyślicielem życiodajnych pól, ptaki przelotne karmiłeś chlebem i czekałeś na zimę oglądając w ukryciu splekane dłonie. Cieszyłeś się. Odchodzisz, szkoda ciebie, bo byłeś szczęśliwy po swojemu. Ja tak nie potrafię, za daleko odszedłem od twojego boga.

— Styfek! — Stockowa podnosi głowę. — Może z po-grzybem zaczytać do niydzilyli?

Jedyne pragnienie Stockowej: jak najdłużej przy-chodzić do wyżębionego pokoju i padać na kolana przed dębowym pudłem. Wierzy w odmianę swego losu: Stock w jej myślach żyje dopóty, dopóki sąsiedzi śpiewają pieśni żałobne, a Karol i Stefan podnoszą ją za ramio-na i sadzają na krześle.

— Zobacz, dziecko, o której odchodzi pociąg na Szczecin.

— Nie zostanie ciocia dłużej? Zima...

— Zostałabym, ale...

Stefan nie słucha, dobrze wie, co powie ciotka: tyle roboty, krowy, konie i świń cały wielki chlew, kury, gęsi zgłodniałe. Kto to oporządzi, napoi, nakarmi, doj-rzy?

— Masz tu trochę pieniędzy. — Karol wyciąga z portfela zwitek tysięcy, nie liczy. — Przydadzo ci się, a mnie na razie nie pilno.

— Dałabym ci i ja, ale... — mówi Klara.

— Jezuniu nejsłodszy, czemuś mie tak pokrzyw-dziył? Niechbym ja była na jyego miyjscu — lamentu-je Stockowa, lecz już nikt nie zważa na nią.

Stefan zostawia za sobą ociężałe, okryte śniegiem poszarzałe domy. Nie chce mu się ani jeść, ani pić. Przez ten las sosnowy tydzień temu jechał upojony tanim winem, nie czuł zmęczenia, miał przed sobą dom, w nim Katarzynę i ojca z matką. Zaraz las się skończy, przed Stefanem rozwinie się nitka drogi wy-deptanej w śniegu.

Szedł z głową ciężką, spuszczoną na piersi jak zła-many konar gruszy, nie chciał patrzeć na ludzi w po-śpiechu wracających z łąk. Szedł krokiem chwiejnym, niepewnym. Po miesiącach nieobecności w Bramsku znowu miał mieszkać między swoimi, oglądać twarze

ogorzałe, spracowane dłonie kurczowo uczezione kos, cepigów, batów. Gdy wrócił, spojrzał na ojca. Stary nie przywitał go jak jedynaka. Nie kazał myć rąk, jeść, pić, lecz iść do Wyborka i prosić o przebaczenie. Jakże mógł po więziennych miesiącach samotnego spacerowania wzdłuż muru zwyczajnie stanąć przed Wyborkiem? Stock krok w krok szedł za nim, wzrokiem prowadził go niby konia na pastwisko i czekał, kiedy syn otworzy furtkę na podwórze sąsiada. Stefan nie widział ani ptaków tańczących w powietrzu, ani plam wełnianych na niebieściutkim niebie, czuł na sobie ołowiany wzrok ojca. Stanął przed Wyborkiem jak skazaniec przed katem, długo nic nie mówił, tylko stał i stał, a ojciec za furtką czekał, w końcu Stefan wycedził przez zaciśnięte zęby najdłuższe słowo:

— Przepraszam.

Ukradł. Tysiąc złotych. Nie dla siebie. Nie dla ojca. Nie na prezent dla Katarzyny. Koledzy namówili go. Im uwierzył.

W sądzie ojciec wysoko podniósł głowę, rozejrzał się po sali, spojrzenie zatrzymał na Wyborku, przeniósł je na Stefana, nie kryjąc oczu wydusił z siebie, prosząc o sprawiedliwy wyrok:

— To nic, że jest moim synem.

Katarzyna blada na twarzy szlochała.

— Musisz być dzielna. Stefan zmądrzeje i wróci. To już będzie kto inny.

Dopiero teraz Stefan rozumie, że wiele nauczył się od ojca. Stary był mu ojcem srogim i nauczycielem wymagającym, nigdy nie uderzył go, nawet nie skrzyczał, a matka co rusz: uoddej! Iydź i zrób! Ty leniuchu! Dziwił się, że ojciec czyta i pisze, myśli nie po chłopsku, jakby skończył uniwersytet, a Stock rok czy dwa chodził do szkoły zimowej. I Stefan dziwił się, że ojciec aż tyle wie, tyle w nim mądrości najuczciwszej. Ale do-

piero teraz rozumie, że ojciec był samoukiem, a samo-
uctwo jest najprawdziwszą szkołą, ukończoną cierpie-
niem i wytrwałością.

Był już w urzędzie gminy, odczytywał napisy na
drzwiach, zastanawiał się, co odpowie urzędniczka, gdy
on wejdzie do pokoju i położy przed nią na biurku
zniszczony dowód osobisty ojca. Prosił w myślach, aby
nie współczuła mu. Najlepiej by było, gdyby nie spy-
tała o nic.

— Potrzebne jest zaświadczenie od lekarza, no, akt
zgonu. Inaczej nie wydam zezwolenia na pogrzeb —
dociera do niego.

— Aha... akt zgonu?

— Porządek musi być — twierdzi ona nieprzyjem-
nie, bez współczucia w głosie.

— Ojciec umarł w domu. Lekarz przyjechał, gdy
już było za późno. Bo to serce... Chciał zabrać ojca do
Zulechowa i kroić, tak powiedział. Pani by pozwoliła,
żeby pani ojca cięto na kawałki? — pyta cicho. — Że-
by wyrywano z niego wnętrzności, krojono jak...? Pa-
ni...? Matka prosiła, Katarzyna, moja żona... ja... —
czuje, że zaraz się rozplacze. Urzędniczka wstała, za-
częła parzyć herbatę. — Pani nie słyszała o moim oj-
cu?

— Nie. Jak się nazywał?

— Stock. Marcin Stock. Najlepszy gospodarz w gmi-
nie.

— Znam Wyborka. To wasz sołtys?

— Tak.

— A Stock...? Na co umarł? — pyta patrząc nie na
Stefana, lecz za okno. — Musiał chorować. Powinnam
mieć go w rejestrze zwolnionych od podatków. —
Przegląda dowód, wpatruje się w wymiętoszoną foto-
grafię, liczy: — Pięćdziesiąt jeden lat. Młody. Mój oj-
ciec też ma pięćdziesiąt jeden lat.

Młody, powtarza w myślach Stefan, za młody, tyle jeszcze zamierzał zrobić, tyle zobaczyć. Piećdziesiąt jeden lat to dopiero początek mądrości.

— Kto przejmie gospodarstwo? Bo, gdyby nie było następcy, mamy chętnych.

— Ja.

— Pan? — śmieje się urzędniczka. — Pan chce się męczyć?

— Ja zostanę na ojcowiznie — mówi szybko Stefan, spuszczając oczy na podłogę.

Za wcześniej zostawiłeś pola, łąki, konie, nie byłeś zapisany w kolejce. Naruszyłeś porządek. Odszedłeś nagle, niespodziewanie, jak niekiedy odchodzą myśli zbyt szybkie, głupie. Ale śmierć jest nam zsyłana po to, by żyjący jeszcze bardziej przywiązywali się do życia.

— Miałem kłopoty z otrzymaniem zezwolenia na pogrzeb — tłumaczy wujowi Karolowi po powrocie do domu. — Udało się załatwić. Dziękuję wujowi za pieniądze. Kiedyś zwrócę.

— I ja nauczyłem się żyć po nowemu, troszke za późno. Żeby spokojnie żyć pomiędzy ludźmi, trzeba być i myśleć jak ludzie. Twój ojciec wszystko chciał sam, tylko dwiema rękami, bez niczyjej pomocy i współczucia.

— To źle? — pyta zdziwiony.

— Nie, ale to już inne czasy.

Klara objęła Stefana chłodnym wzrokiem, nie rozumiała myśli Karola, nie odzywała się jednak.

— Okienko biletowe było zamknięte. Przerwa obiadowa — kłamie Stefan. — Po pogrzebie pojadę na stację i kupię cioci bilet.

— Świyni głodne — przypomina mu Stockowa. — Kwiycz.

— Zaraz Kasia nakarmi je. Najpierw zjemy sami.

— Uejciyc niy usiodł do stołu, jak słyszał kwiycz-

nie głodnych świń. — Stockowa przypina do żałobnej sukienki fioletowy fartuch, schyla się po wiadro pełne zlewek.

Stefan przypomina sobie, że ojciec zawsze jadł ostatni, szybko jakby się spieszył dokąś. Łykał gorącą zupę i popijał ją zimną wodą. To może od tej wody często bolał go żołądek?

— Na gorąc najlepsza woda. Od kompotu chce się pić jeszcze bardziej — tłumaczył, gdy Stockowa stawiała na stole garnek z kompotem wiśniowym, bo wiśnie każdego roku rodziły, że nie wiadomo było, co z nimi robić.

— Ty się jeszcze doczekasz. Bydziesz żałował, ale...

— Śmierć sądzona wszystkim.

Stefan siedzi w chlewie na wiadrze, z którego przed chwilą wylał świńską karmę i szuka usprawiedliwienia dla siebie, niby syna gospodarskiego, a już wyobcowanego, nie umiającego cieszyć się żarłocznością świń, nie czekającego ani na niedzielę, ani na żadne inne święto. Pamięta, że każdej niedzieli po południu ojciec siadał na ocienionej ławce przed domem i razem z Wyborkiem, Kwiatkiem, Grzędą czekali na deszcz albo na słońce. Odpoczywał tylko raz w tygodniu, właśnie w niedzielę po południu. Nie spieszył się nawet wówczas, gdy ołowiane, burzowe chmury nisko wisiały nad lasem. Niedziela była dla niego dniem najświętszym; nie wychodził w pole z końmi, nie rznął sieczki, nie rąbał drewna. Ogolony odpoczywał.

Chociaż nie. Za rzeką dojrzewały kiście dzikiego bzu. Gdy Stefan był mały, miał najwyżej osiem lat, ojciec zabrał go za Obrę. Stefan pierwszy raz jechał tak daleko. Niedziela wrześniowa, jeszcze ciepły słoneczny ranek, sąsiedzi idą do kościoła na sumę, odpoczywają po długim żniwowaniu, a oni obaj jadą wozem, ojciec cmoka na konie:

— Wio, maleńkie, wiśta, Kasztan, no, Gniada! — I wymachuje batem w powietrzu. Stefan chciał, by ojciec tym batem uderzał w końskie zady. — Po co?

Przy Gniadej podskakiwał żrebak. Żrebak? Prawdziwy koń, silniejszy od Kasztana. Stock jeszcze nie przyzwyczajał go do chodzenia przed pługiem po rżysku, bo młody, za młody do mordęgi, szkoda mu było żrebaka. Sąsiedzi śmiali się ze Stocka.

— Wyrośnie koniczka jak ta lala. Narobi się.

Na gruzach starej, w wojnę zrujnowanej pompowni rósł dziki bez. Dojrzałe fioletowe kiście jakby podprawione granatem kruszyły się i spadały w schnącą trawę. Stefan schylał się i już chciał zbierać je, a Stock jeszcze zakładał parciane powrozy na końskie pęciny, potem wyprowadzał konie na niczyją łąkę, bo majątkowe to niczyje albo wszystkich. Stary usiadł w kucuki, zapalił papierosa, podśpiewywał zadowolony. Wstał, nachylał do siebie kolczaste gałęzie bzu, kiście zrywał do kosza wiklinowego i ten fioletowy, pachnący cierpkim winem urobek wysypywał na wóz. Stefan, zmęczony nieco, rozleniwiony usiadł pod wierzbą i czekał, kiedy słońce zacznie schodzić na łąki, a ono uparcie grzało, chociaż dawno było po żniwach.

— Jestem głodny — powiedział Stefan płaczliwie.

— Zjedz jabłko. Za wałem rośnie malinówka — ojciec pokazał na czubek drzewa, na którym rumieniły się dojrzałe, też niczyje jabłka.

Stefan gryząc jabłko patrzył na ręce ojca sięgające po najdrobniejsze kiście zawieruszone między żółknącymi liśćmi bzu. Syn miał dość, chciał wracać do domu, ale ojciec ani myślał o tym. Objedzony wstał, uciekł za krzaki, położył się na dywanie trawy i patrzył na kiście, wydawało mu się, że to nie bez, lecz winogrona.

— Po co chodzisz aż tam?! Tu tyle bzu! Nie chce ci się zrywać, co? — podejrzliwie spytał ojciec.

Nitki babiego lata pływały w pachnącym dojrzałym bzem powietrzu. Stock ręką odtrącał je od siebie, dmuchał, odchyłał głowę, by rozminąć się z pajęczyną. Stefan śmiał się z ojca.

— Dosyć na dziś — powiedział ojciec, rozgarniając w skrzyni winne kiście. — Czas wracać do domu. Konie już się napasły. Sprzedamy bez, będzie z pięćset złotych, akurat na rower.

Lecz Stock nie schodził z drzewa, zrywał kiście, wybierał już tylko najdorodniejsze, jeszcze było mu za mało. A Stefan czekał, kiedy ojciec zawoła na konie i odjadą w stronę domu. Gdy stary zerwał wszystkie kiście, usiadł w cieniu wierzby, zaczął śpiewanie. Zawsze lubił śpiewać, dawniej to i przygrywał sobie, i przytupywał, a gdy był młodszy, nie opuścił żadnej zabawy w Bramsku, nosiło go nawet do Przymokli, do Zulechowa, może i dalej. Śpiewał piosenki ludowe, przyspiewki bramskie, przymoklańskie, ale najbardziej lubił wyśpiewywać takie, których nie umiał Stefan, słyszał je dopiero od ojca.

— Siedziałam na sośnie, pytałam żałośnie, kiedy mi obrośnie... — ojciec przerwał, uśmiechnął się i mówił, że to nie dla dzieci.

Stefan myśli: już wtedy rozumiałem wiele. Nie dawałem poznać po sobie, ale wiedziałem wszystko, co chłopcy opowiadali na pastwisku. A ty patrzyłeś na mnie jak na niewinnego malca, który nie wie, skąd się biorą dzieci i wierzy w bociany, krasnoludki czy baby jagi. A ja już wcześniej przypatrywałem się, co robisz z mamą w nocy. Niby spałem, lecz oczy miałem ledwie przymknięte.

— Zobecz, czy Styfek śpi.

— Śpi, śpi — pośpiesznie odpowiadał ojciec.

Podnosiłem głowę i przyglądałem się, jak ojciec przyciąga mamę do siebie rozgrzanego całodziennym stąpaniem za końmi, jak rozpina koszulę, ściąga kalessony, słyszałem ciężki, przyspieszony, męczący się szybko oddech. Dwa oddechy.

— Może dzisiaj dej spokój. Styfka uebudziemy — mówiła mama.

Widziałem białe uda, niżej pokłute ostatnimi ścier-niskami opalone łydki, to znak dokąd sięga mamina spódnica. Coraz szerzej rozwierałem oczy, nasłuchiwa-łem, chciałem przysunąć się bliżej, popatrzeć na was.

Za oknem błyszczał uczepiony granatu nieba sre-brzysty talerz księżycy. Noc była ciepła, znaczona szwargoleniem odlatujących dzikich gęsi i spadaniem miedzianych, przyrumienionych liści z podkasanych wzdłuż drogi lip. Ale ja tego ani nie słyszałem, ani nie widziałem. Patrzyłem, jak ojciec pochyła się nad ma-mą, jak całuje jej nos, oczy, jak jego ręka przesuwą się w dół wzdłuż krawędzi łóżka. Mógłbym wtedy stanąć obok nich i niczego by nie dostrzegli.

Łóżko skrzypiało. Coraz szybciej i głośniej. Drżało. Grało. Jęczało. Widziałem szerokie plecy ojca i żyłaste nogi, kilka nóg, lecz nie umiałem powiedzieć, które czyje.

Nagle wszystko się urwało, zgasło. Cisza, a po chwi-li słyszałem tylko krótkie i zmęczone oddechy. Wci-snąłem głowę w pulchną poduszkę, żeby już niczego nie słyszeć, bo wydawało mi się, że byłem świadkiem czegoś bardzo ważnego. Rodzice nie podnosili się, le-żeli obok siebie szepcząc.

Rano wstałem wcześniej. Mama już stała przy piecu kuchennym i mieszała łyżką w garnku, ojciec siedział na krześle wciśniętym między stół a ścianę, palił pa-pierosa. Rozmawiali. Dobrze pamiętam: rozmawiali o młócce. Przypatrywałem się im ze zdziwieniem, szu-

kałem śladów nocnego sapania, drżenia, omdlenia. Oni ciągle rozmawiali, nie zważali na mnie. Zmartwiony pobiegłem do drewnutni, usiadłem na kopczyku suchych szczap i czekałem, kiedy mama zawoła mnie na śniadanie. Wstydziłem się spojrzenia ojca, bałem się, że byłem zbyt ważnym świadkiem ważnej chwili.

— Cholera by wzięła — klnie wuj. — Siostra, psia jego jebana mać!

— Ciotka Klara?

— Ona mnie mówi, że Marcin, twój ojciec, jeszcze jej nie spłacił. Przyjechała po majątek. Jebana mać! Należy jej się za meble.

— Ile?

— Niech spyta Marcina!

Za oknem terkocze zagubiona w lutowej śnieżycy syrena. Stock nie słyszy terkotania, nie domyśla się, że Karol przeklina Klarę, spod dziesięciozłotówek nie widzi niczego.

— Ja by jej dał tyle — Karol zgina rękę w łokciu.

Stefan prowadzi gości do zimnego pokoju. Zatrzymał się w drzwiach i widzi, że ojciec leży nieruchomo i spod dziesięciozłotówek już trzeci dzień patrzy w to samo miejsce. Ktoś mówi, że Stock już nie założy munduru i nie będzie defilował pobrzdkując zaśnieżanymi medalami. Kto to jest? Chyba przedstawiciel naczelnika? Inni stają przy trumnie, pochylili głowy jakby rozmyślali, milczą. Ten ktoś, kogo Stefan nie zna, przypomina, że Stock tak stał, gdy Wilczewski wybierał się w podróż na piaszczyste wzgórze pod lasem sosnowym.

— Odchodzą ci, którzy budowali fundamenty Polski.

— Autochtoni. Pionierzy. Coraz mniej ich.

— Swoje zrobili, to i odchodzą — mówi rzeczowym

tonem Karol, a Stefan jest przekonany, że wuj nie ma racji.

— Ale jeszcze nie powinni.

— Srogaż ma sto lat — przypomina Wyborek.

Klara się niepokoi. Obiecywała, że wróci do niedzie-
li. Jutro po południu pogrzeb. Klara wyjedzie ze wsi
nocnym pociągami i już nigdy nie odwiedzi ani brato-
wej, ani Stefana, zapomni o Bramsku. Bo do kogo ma
przyjeżdżać? Do bratowej, która nawet nie rozmawia
z nią? Do Stefana? Nie odwiedzała brata, choć on cze-
kał na nią, zapraszał na każde święta, chciał wspominać
lata dziecinne, przywoływać ojca i matkę, i tamten dom,
który do sądnego dnia tkwił w jego oczach.

Stefan spogląda na tych przedstawicieli, którzy sy-
reną przyjechali z gminy albo z Zulechowa i myśli: nie
doczekałeś, ojczu. Poszedłeś pierwszy do babci, rozma-
wiasz z dziadkiem, szukasz Helenki, a ona taka mała,
że nie umie cię zawołać. Tu pozostała ciotka Klara
i wuj Karol. My, Katarzyna i ja, też jesteśmy pośród
żywych i to nasze oczekiwanie na wypełnienie puste-
go miejsca po tobie. Byłoby inaczej, gdybyś się sza-
nował, lecz ty bardziej dbałeś o konie niż o siebie.

Stock przyzwyczaił się do codziennego wieczornego
chodzenia do sklepu po papierosy. Mógł kupić cały
karton sportów na zapas, a on nie, każdego wieczoru to
samo: podaj, Kryśka, paczkę sportów. Niekiedy przy-
nosił ze sklepu sól, cukier, mydło, proszek. Tamtego
dnia Stockowa poprosiła go:

— Kup jaki makaron. Ugotuje na mlyku.

— Nie — powiedział głosem podniosłym. Może gdy-
by wiedział, że Stefan namówił matkę na makaron, nie
sprzeciwiłby się. — Nie — powtórzył i nacisnąwszy
czapkę na głowę wyszedł z kuchni.

— Kup! — krzyknęła Stockowa.

Stefan pobiegł za ojcem do sklepu. Stanąwszy przed ladą powiedział:

— Poproszę makaron gorzowski. Tata zapłaci. Zapłać — poprosił patrząc ojcu w już przekrwione oczy. — Osiem złotych.

Stock podniósł rękę wysoko, jak tylko mógł, i z całej siły uderzył syna w głowę. Makaron upadł na podłogę, a Stock tratował go butami niby jakie ścierwo, wgniatał zeschnięte nitki w szpary między deskami, wył jak rozwścieczony pies. Wtenczas Stefan pierwszy i ostatni raz widział ojca innego. Wrócili do domu osobno.

— W worku na górze jest mąka! W kurniku jajka! Gotuj! Masz z czego! — krzyczał wściekły. — Na kupne gówna szkoda moich pieniędzy! Wstyd! mnie wstyd kupować kluski. Mnie wstyd! Ja gospodarz!

Stockowa tuląc przestraszonego syna powiedziała:

— Styfek ma apytyt na makaron. Dzieciy zawsze czygoś chco. Tyś był inny? Niy trza żałować dziecku. Wiyncy przepoliysz.

Stock uderzył żonę. Stefan widział to i zapamiętał na zawsze. Potem ojciec długo siedział na ganku, nie odzywał się. W nocy wszyscy troje leżeli pod pierzynami przykryci prawie z głowami. Stockowa cicho łkała. Stefan bardzo bał się gniewu ojca. Ale zebrał w sobie odwagę i usiadł przy nim. W ciemności niewyraźnie widział twarz zawziętą, upartą i zdecydowaną, pełną najohydniejszej grozy. Tej twarzy długo nie mógł zapomnieć.

— Powinieneś zapalić wszystkie gromnice. — Katarzyna kładzie rękę na karku Stefana, całuje go w szyję. — Nie myśl już.

— Siódma. Zaraz zaczną się schodzić sąsiedzi.

— Trzeba pożyczyć kilka krzesel. Na pewno dziś przyjdzie cała wieś — milknie i oczy wbija w wieko

trumny oparte o ścianę. — Żeby Żuczucha nie zawodziła.

— Ludziom, Kasiu, niczego nie wolno zabronić, a tym bardziej śpiewania — mówi Stefan i przyciąga Katarzynę do siebie. — Ojca lubili wszyscy.

— Bardzo — cicho dodaje Katarzyna. — Na mojego ojca ludzie patrzą jak na Niemca. Twój też autochton, a... Dlaczego?

Słońce, ostrożnie wychylając się zza stodoły na ośnieżone podwórze, oblizuje igiełki lodu z okien. Słychać trzaskanie pękających sopli, jak gruszki jesienne spadają w śnieg. W nocy znowu prószyło miłąką watą, która jeszcze szczelniej opatuliła podwórze. Bez szpadla nigdzie nie można dojść.

— Kto wykopie grób? — zastanawia się Stefan. — Ziemia zmarznięta, droga na cmentarz zasypana.

— Kalwin — mówi Karol.

— Kalwin powiesił się.

— Co?! Przez kogo?

— Kto to wie. Ludzie powiadają, że przez księdza.

W zimowe niedziele Stockowie też wstawali wcześniej. Stary najpierw odgarniał śnieg sprzed ganku, wycinał w nim wąziutkie wstążki do drewnutni, chlewa, stajni, poił konie. Zziębnięty wracał do pokoju, zrywał z młodych pierzynę utkaną z gęsiego, zimowymi wieczorami dartego pierza.

— Dosyć leniuchowania! — wołał i tarł nogi Katarzyny rękoma zlodowaciałymi, pachnącymi dworem, śniegiem i mrozem.

Katarzyna kryła się pod pierzyną i czekała, kiedy teść odwróci się, by mogła wstać i narzucić na siebie szlafrok czy sukienkę. Stock nie wychodził z sypialni młodych, siadał na łóżku i mówił do nich:

— Wam dobrze. Krowy głodne nie ryczą. Koni nie musicie poić. Tylko żyć. A jakby matka przyniosła

śniadanie do łóżka, żona przytuliła męża? Tylko tak żyć. — Kręcił głową z aprobatą. Po chwili zamyślenia dodawał: — Czas pomyśleć o dziecku. Leżycie tak, chuchacie na siebie, a po Kasi niczego nie widać. Nie umiesz, Stefan?

Stefan zastanawiał się, dlaczego z nich dwojga ojciec bardziej lubił Katarzynę niż jego i kochał ją jak córkę, choć Knastowi nie mówił nigdy dzień dobry. Kiedyś spytał go o to. Stock długo milczał.

— Podobają się ojcu zgrabne kobiety?

— Gdy kobieta już wybierze swojego mężczyznę, trzyma się go aż do śmierci. Kobieta sama nie potrafi żyć.

Stary dobrze wiedział, że z Katarzyną było inaczej. Gdy Kwiatkowa podpatrzyła spotkanie Stefana z Katarzyną w łózinach i rozniosła wiadomość jak wici po wsi, syn powiedział ojcu prawdę.

— To dobrze. Nie możesz być tchórzem. Wybrałeś.

A on bał się gniewu ojca, kłującego, wymawiającego spojrzenia. Uciekał wzrokiem na sufit, na podłogę, byle tylko nie widzieć grozy na jego twarzy. Obaj szybko zapomnieli o tej rozmowie jakby nigdy jej nie było, a przecież wtedy Stefan zaczynał przebierać się w kitel lekarski.

Zastanawiał się, dlaczego ojciec twierdził, że wszystkie kobiety są jednakowe, stworzone jedynie po to, by gotowały, cerowały, sprzątały, prały, karmiły świnie, wybierały jajka z kurzych gniazd. Ojciec mówił, że powinny rodzić systematycznie, jednego roku chłopca, drugiego dziewczynkę, bo jedno dziecko w rodzinie, często przypominał, to brak dzieci, a dwoje — to jedno.

— Na kiedy tuczyć świnie?

— Myśli ojciec o chrzcinach?

— Chyba w święta, to znaczy w Wielkanoc albo Zie-

lone Świątki — odpowiedziała Katarzyna i usiadła tęciowi na kolanach jak mała dziewczynka spragniona pieśczoł.

— Nic się tam nie odzywa? — stary delikatnie pukał Katarzynę w brzuch, a ona przytulała się do niego jeszcze mocniej. Stefan był zły. — Chrzczyny muszą być takie, żeby cały Bramsk tydzień chodził pijany. Stoły zastawimy jak na waszym weselu.

Stock nie doczekał dnia zakreślonego w kalendarzu. Grubym stolarskim ołówkiem sam zrobił ten znak. Często przystawał koło szafy, gdzie wisiał kalendarz wycięty z gazety, i spoglądał na datę jakby oczekiwał przyjazdu kogoś bardzo bliskiego lub ważnego. A Stockowa nic nie wiedziała o tym.

— To gdzie kopać? — I Wyborek nie czekając na odpowiedź, pewnie nie usłyszałby jej, wybiera miejsce przy dróżce. — Myślę, że twojemu ojcu najlepiej będzie na górze pod samym lasem.

Na zawsze zostanie Stock w cieniu drzew, w zapachu żywicy, blisko strzelistych sosen całymi dniami gaworzących z chmurami. Wesoło tam, sosny prze-drzeźniają się aż do zmroku, ptaki pytają je o pogodę, liście wołają do siebie.

— Kazałem wykopać na dwa i pół metra. Musi nie za płytko? Zięć najmie ze dwóch ludzi, to i za flaszkę wina wykopią dół do obiadu. — Wyborek wpatrzony w wyskubaną ze śniegu ziemię jeszcze nie odchodzi, czeka.

Stefan się zastanawia: na co on czeka? Czy mam podziękować mu? Może obiecywać, że odwzajemnię się? Spytać, czy zechce leżeć obok ojca? Koledzy. Gdyby chciał tu złożyć swoje kości, rozmawiałby z ojcem o gospodarstwie, wychwalałby konie, dojrzewające kłosa pszenicy, cieszyłby się blaskiem księżyca Lwistau-

jącego pogodę na żniwa, sianokosy, wykopki. Ciało człowieka nieruchomieje, żółknie, ale żyje.

Stockowa trzyma męża za nogi. Już nie skowyczy, nie błaga o sprawiedliwość, na którą czekała całe trzy dni i trzy bezsenne noce. Przyzwyczaiła się do Stocka zimnego. Widzi go, więc on jest.

— Pożegnajcie się z ojcem. — Wyborek popycha Stefana i Katarzynę. — Tak trzeba.

Stefan stoi na drżących nogach, nie może zrobić ani kroku, a sąsiedzi patrzą na niego, czekają, kiedy zeschnięte usta położy na zimnym czole ojca. On ciągle stoi i myśli: jakże mam cię żegnać? Zawsze ty brałaś moją głowę w swoje spękane dłonie i przyciskałaś ją do siebie jakbyś się bała, że ucieknę bez pożegnania. Ale pochylił się, czuje lodowate czoło, nasłuchuje, dotknął dłoni, nie wyczuł drżenia ręki, wzrok położył na czapce, a ona czarna jak sadza. Prostuje się i dopiero teraz mówi do Katarzyny:

— Niby ten sam, lecz całkiem inny. Jak nie mój ojciec.

„Dobry Jezu, a nasz Panie...” dudni mu w uszach.

— Wszyscy pójdziemy za Marcinem. Nikomu nie jest sądzone wieczne życie na ziemi. Wyborek, weźcie ją — prosi Karol. — Bratowa...

Palewiczka próbuje odciągnąć Stockową od trumny; oderwie jedną rękę, to druga uczepia się deski.

— No, weźcie! — złości się Karol.

— Jak?

Stefan bierze matkę za ramiona, wbija paznokcie w czerń wełnianej chusty okrywającej kościste, lekko złamane plecy, ciągnie, jakby po raz ostatni widział nie ojca, lecz matkę.

— Mamo, już czas na cmentarz.

— A do kogo, Styfek?

— Mamo... — zaczyna Katarzyna i urywa.

Wyborek, odsunawszy pod drzwi wypalone kikuty gromnic, zdmuchuje świeczki najmniejsze, które palą się przy samej głowie Stocka. Rozgląda się jakby czegoś szukał.

— Podaj, Andrzej, młotek.

Leżysz tam, wewnątrz trumny, najohydniejszej ze skrzyń, wpatrzony w jej wieko i nie wiesz, że w tym wielkim domu już nigdy nie dotknę twego czoła ani rąk, nie spojrzę ci w oczy, nie usłyszę twego jęku, mówi w myślach Stefan. I słyszy głos ojca: nie odchodzę. Wróć. Jestem.

— Gwoździami nie zabijajcie! — krzyczy Klara. — Jeszcze na cmentarzu popatrzymy na Martina! Ostatni raz.

— Nie zabijaj, sołtysie — prosi Wyborka Palewiczka.

— Nie zabijaj — powtarza Wyborczycha.

Wyborek nie słucha nikogo, wali młotkiem jakby zbijał skrzynię na mąkę. Coś przeraźliwie jęczy w uszach Stefana. Może słyszy rzenie koni, a może to tylko jęk gwoździ? Zatyka uszy. Czy ojciec czuje, jak się unosi w tym szkaradnym pudle?

Sześciu sąsiadów trzęsie trumną nad progiem, mocno, żeby Stock na zawsze miał w pamięci to miejsce, które tyle razy oznaczył oglinionymi kamazami. Miał swoją filozofię wyrosłą z ziemi, wśród miedzianych łąnów pszenicy, powstałą przy zachłannym spoglądaniu na spasionie grzbiety koni.

— Był Stock. Nie ma Stocka.

Posuwa się kondukt żałobny. Stock rytmicznie unosi się wraz z trumną, nabijając sobie guzy na zimnym czole, ale to już ostatnie guzy. Czy on wie, że za furmanką zaprzęzoną w dwa czarne konie Wyborka wlecze się pół wsi? Drugie pół przykleja zaczerwienione twarze do pomalowanych mrozem szyb? Rozpłaszczają nosy szukając Stocka między żywymi. Zawsze szedł pierwszy,

przed wozem, nie śpiewał, nie ocierał oczu, był zamknięty w sobie jak niedojrzały orzech i twardy niczym ten sam orzech w porze jesiennego dojrzewania.

Stockowa stąpa za trumną uczepiona rękawa Katarzyny, obok Stefana drepcze Klara, Karol, założywszy ręce do tyłu, potrząsa głową. Każde z osobna patrzy pod nogi i widzi tylko wystające spod śniegu grudy zmarzniętej ziemi. O niczym żadne nie myśli. Oni idą.

Lutowy dzień okryty śniegiem, wygrzewa się w skąpym słońcu. Piękna sobota. Stock lubił takie soboty. Mówił, że przed niedzielą nigdy nie pada deszcz. Stefan żałuje, bo ojciec nie może już spojrzeć na osamotnione, śpiące twardym zimowym snem drzewa, przyrzyć się domom przycupniętym w pożegnalnej ciszy, dachom opatulonym śnieżną pierzyną i ogrodom wielkim jak łąki przykanalskie.

Przed ludźmi głęboki las, w którym Wyborek, Palewicz, Grzęda, nawet Stock ukradkiem wycinali żerdzie na płoty. Las pachnie żywicą, śpiewa szumem roztrzęsionych głów sosen wiecznie zielonych, nigdy nie zamierających, nie zmieniających się ani zimą, ani latem, może tysiącletnich. Stefan myśli, że ludzie powinni żyć tak długo jak sosny. Ojciec, gdy wracał z lasu, mówił:

— Umrę, to pochowajcie mnie pod lasem.

— Gupiyś — pukała się w czoło Stockowa.

Za lasem cmentarz na piaszczystym wzgórzu wśród sosen i krzaków rozkładających swój cień na ośnieżonej ziemi. Tu kończy się droga, tędy biegnie niewidzialna ścieżka: po jednej jej stronie życie, po drugiej odpoczynek. Tu czeka się na westchnienia i chryzantemy. Jedni woleliby kopać doły w ziemi pośród laciatych brzoź, inni na równinie wyciętej z zapachu urodzajnych pól. Tak mówią ludzie, kiedy żyją. Po śmierci nikt nie wybiera swojego miejsca.

Wspinając się na płaski szczyt piaszczystego wzgórza kondukt omija kwatery zacienione rozłożystymi tujami, czasem opięte rdzewiejącymi płotami, cichutkie. To mogiły przedwojenne kolegów Stocka, którzy nie doczekali pierwszego dnia wolności. Być może smutniej umierać, gdy nie ma się przyjaciół, a tylko szum sosen i grad żarzących się gwiazd. Kto to wie?

Stocka bolało często, zaciskał zęby, kulił się i tłumaczył żonie:

— Przejdzie. To tylko skurcz.

— Pódź, Styfek, do Wyborka, niech dzwoni po fylczera. Umyje ciy giyry, wdziejesz czyste kalysony. Styfek, pomóż uejcu przewrócić się na bok.

Stefan mocno podtrzymywał ojca, widział na jego twarzy niezwykajny, jakby wymuszony, uśmiech. Stock syczał, przymykał oczy, ale nie jęczał, nie krzyczał. A Stockowej wydawało się, że on jęczy, słyszała przeźliwy jęk, spieszyła się.

Felczer powiedział spod drzwi:

— Natychmiast do szpitala!

Stockowa szlochając spytała:

— Wyńdzie, panie doktorze? Od czygo to niyszczynście? Co mu je?

Stock przewrócił się na wznak, oczyma błądził po suficie, nogę to zginał, to prostował. Kłamał, nie patrząc w żadne oczy:

— Zgrzałem się tylko. Nic więcej. Przejdzie.

Dopiero potem, gdy każdego wieczoru wcierał maść w chudnące ręce i nogi, przyznał się, lecz tylko Stefanowi:

— W wojnę, jak wzięli mnie do szkoły hitlerjugend, byłem ranny, o tu — pokazał wychudzone udo. — Teraz spocony wszedłem do Obry, a miałem uważać na siebie. Dostałem zapalenia nerwów. Skończyło się szczęśliwie. Mogłem przestać ruszać nogami. Leżeć sparali-

zowany i prosić o kubek wody... I patrzeć, jak ziemia marnieje?

Śmiał się ze Stockowej podpatrującej każdy jego ruch, człapiącej za nim w pole, wybiegającej na podwórze, gdy wracał z łąk, z lasu, znad rzeki.

— Ja z długowiecznej rodziny. Pamiętacie babkę? Ile lat żyła? Dziewięćdziesiąt albo sto? Może dłużej, bo metryki zjadły myszy w cesarskim kościele. Zabolało babkę w krzyżu, wypijała ćwiartkę spirytusu. Noga bolała, znowu babka się leczyła spirytusem. Lekarza ani znachora nie znała. A ja nie ze Stocków?

— Niy wiycznyś. Zdrowie najważniejszyjsze. Trza sie szanować — powiedziała Stockowa niezadowolona z jego filozofowania.

Dziadek, ojciec Stockowej, odszedł na piaszczyste wzgórze ledwie doczekawszy się dnia, na który wcale nie czekał, nie umiał przyzwycząć się do porządków zięcia, do mechanicznych kosiarek, elektryczności w oborze, stajni, do podwórza i radia. Męczyło go zastępowanie pracy mięśni ludzkich maszynami, nie pozwalało mu to spokojnie spać na sienniku wypchanym słomą żytnią, w wykrochmalonej pościeli, na skrzypiących łóżkach. Wszystko pachniało mu niemieczyną.

— Jakie to niemieckie?! — złościł się Stock. — Myśmy tu byli zawsze. No, dokoła Niemcy, ale my nigdy nie byliśmy Niemcami.

— To kim?

— My... u siebie. Po swojemu.

— Niemcy, Niemcy.

— My to my!

Stock kupił wóz ogumiony, szerokomłotną maszynę, parnik elektryczny, myślał o pralce i wodociągu, chciał pomóc Katarzynie. Królestwem Stockowej był dom, władza Stocka kończyła się na schodach przed gankiem.

„Dobry Jezu, a nasz Panie...” umilkło, proboszcz Wy-

borek w ornacie żałobnym deklamuje słowa, których teraz nikt nie rozumie. Sąsiedzi zwiesili ociężałe głowy na piersi i czekają, aż proboszcz skończy i uniesie kropidło. Sołtys Wyborek, choć Stock nie był mu ani bratem, ani szwagrem, też ociera oczy i przypomina sobie coś, o czym nikt nie wie. Bo gdyby to doniosło się do milicji, byłby koniec jego sołtysowania, królowania, panowania. Tylko on został. Było ich trzech, dwóch pochłonęła ziemia.

— Wyż mnie do siybie, Jezuuniu! Komu jo tera potrzebybna? Marcinaa ju niy ma, to i mnie życie zbyteczne — skowyczy Stockowa, a Żuczycha stoi przy niej i patrzy, kiedy upadnie na kolana.

— Kumo, uspokójta sie... Na kazdego przyjdzie cas. Zeby nas miał kto pochować... — Żuczycha ciągnie Stockową, odrywa jej palce od trumny jak odrywa się pijawki od obolałego ciała.

Wyborek myśli: zostałem sam. Nikt się nie dowie, kto zabił Żuka. Kto powiesił Kosa. Kto podpalił Krycha i Donowasa. Tyle lat czekałem na ten dzień i mam. Już nie muszę się bać. Podniósł głowę, zerknął na księdza, przejętych sąsiadów. Stali z opuszczonymi głowami. Czy oni domyślają się, kim naprawdę był Stock? Czy wiedzą, że on i ja z Bramska, Mikuty z Przymokli, Partyki z Lichenia — to nie milicjanci, lecz samodzielny oddział „Martina”? Nawet nie podejrzewali nas o to. Węszyli jak psy wściekle, wtykali nosy do naszych domów, ale byliśmy sprytniejsi. Tylko, co mamy z tego? W dzień z opaskami biało-czerwonymi na rękawach, w nocy z karabinami po wioskach. Co osiągnęliśmy?

— Gdybym pierwszy poszedł na piaszczyste wzgórze — Stock mówił w żartach — zróbcie z ziemią naszą, co chcecie.

— Pomyłony Zbych, chociaż pomyłony, to mondrzyj-

szy ued ciybie! — krzyczała zgniewana Stockowa. — Gupiyś, oj, gupiyś.

— Przeżyje teś nas wszystkich. Stockowie stworzeni są nie do szybkiego umierania, lecz do długiego tyrania w ziemi — wtrąciła Katarzyna.

— Przyszły inne czasy — stary na to. — Robota wyciąga z człowieka wszystko. Na nic chęci, kiedy brakuje sił. Popatrz na Stefana, gdzie mu brać się za orkę, kosić łąki? Do czego on się nadaje?

— Ojciec się przekona, że ziemi nie oddam nikomu — powiedział zły Stefan.

— Serce. Moje serce — położył rękę na piersi, bladł, bladł, a oni stali bezradni. Runął na podłogę.

— Tata! Taaataa! — zawyła Katarzyna.

Stefan obiecuje: zakopią cię, uklepią kopczyk z złotego piasku. Zawsze w niedzielę będziemy tu przychodzili we trójkę: Kasia, Marcinek i ja.

— Był młody — mówi Palewicz.

— Mój tez młodo odsed. Nie miał jesce cterdziestki. Kto go zabił? — Żuczycha patrzy po sąsiadach. — Zebym ja wiedziała...

Proboszcz Wyborek ścisnąwszy w dłoni bryłę ziemi, kruszy ją delikatnie nad wiekiem trumny. Już i inni, z początku lękliwie, nieśmiało, cichutko, jakby się bali, podchodzą do kopczyka i obrzucają trumnę bryłkami zmarzniętego piasku. Coraz głośniejsze, głośniejsze. Ludzie przepychają się.

— Stockowa! — woła Żuczycha, która na moment odeszła od sąsiadki. — Oj, ona runie za Marcinem! Łapcie jo!

Mogilę oznacza kopczyk piaszczystej ziemi. Taką ziemię Stock wyorywał pługiem i chociaż wiedział, że to liche piasek, głębia pozbawiona życia, szanował ją, mościł nawozami, kochał. Bo to była jego ziemia, nikt mu nie dał jej. On ją sobie tylko zatrzymał.

— Był sąsiad — przypomina zięć Wyborka, uklepawszy szpadlem piasek na mogile.

— Taki jert i nas wszystkich los. — Karol ociera oczy, choć nie płakał.

— Módlmy się za duszę świętej pamięci Marcina, człowieka prawego, sprawiedliwego...

— Martin, słyszysz mnie?!

Sobota. Piękny, słoneczny dzień. Na cmentarzu jeszcze piękniejszy.

— Martin? Teść powiedział: Martin? — pyta onie miały zięć Wyborka.

— Ojcie, Martin? — powtarza pytanie proboszcz Wyborek.

— Martin.

— Do kogo ojciec mówił?

— Synu... to był Martin. On zabił Żuka. On powiesił starego Kalwina, podpalił Krycha i Donowasa.

— Kalwin sam się powiesił. Z powodu mojego poprzednika, proboszcza Rabiegi.

— Dość! — krzyczy Stefan, tupie nogami, a ludzie wcale nie patrzą na niego. Wszyscy obępują sołtysa Wyborka. — Przestańcie!

— Gdybym wiedział... Zawsze myślałem, że Martin to ktoś silny, wielki.

— Martin, mówicie? — pyta chorąży pocztu sztandarowego. — Potraficie to udowodnić?

— Po co? Jego już nie ma.

Spis treści

Pieska śmierć **5**

Jawdosia **27**

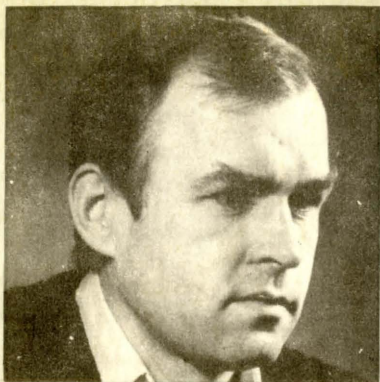
Nie jestem wariatem **44**

Sarenka **60**

Podróż do piaszczystego wzgórza **84**

Redaktor *Anna Stankiewicz*
Redaktor techniczny *Bogusław Józwik*
Korekta *Anna Malinowska, Agata Pleśniarowicz*

Wydawnictwo GLOB Szczecin 1987
Wydanie pierwsze. Nakład 4.650 + 350 egz.
Ark. wyd. **6,5**. Ark. druk **9**.
Papier offset kl. III 65 g, 82×104 cm
Oddano do składania w sierpniu 1986 r.
Podpisano do druku w lutym 1987 r.
Druk ukończono w lutym 1987 r.
Szczecińskie Zakłady Graficzne
Zam. nr 1127/11.10/86, N-4/7
Cena zł 230,—



Fot. Czesław Łuniewicz

Alfred Siatecki ur. w 1947 roku w Kostrzynie na Ziemi Lubuskiej. Mieszka w Zielonej Górze, pracuje w redakcji dwutygodnika „Nadodrzu”. Debiutował w 1969 r. Opowiadania i reportaże publikował m.in. w „Kamieniu”, „Miesięczniku Literackim”, „Nadodrze”, „Twórczości”, „Tygodniku Kulturalnym”, w almanachach oraz na antenie Rozgłośni Polskiego Radia. Otrzymał wiele nagród w konkursach literackich i reporterskich. Wydał opowiadania: *Podzwonni ręczniacy* (1980), *Piaszczysta ziemia* (1985), *Przeklęte wykopki* (1986), powieść *Jubel* (1986) oraz informator *Pisarze lubuscy* (1981).

Podróż do piaszczystego wzgórza to zbiór opowiadań powstałych z doświadczeń reporterskich, utrwalających najczęściej gorzką i cierpką prawdę o współczesnej wsi. Ziemia Lubuska, gdzie autor umiejscowił akcję swych utworów, była sceną przemian o oraz ludności na ogólnopolski. Ostr przed problemami nadobrzeński — to

Biblioteka Uniwersytecka ONHiS
nr inw.: ks 1 - 77291



Cena zł 230,—

I 77291/I